



✕ PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEI ✕

ROK 1924.

WARSZAWA, 15 LISTOPADA

T R E Ś Ć N U M E R U :

Stosunek państwa i społeczeństwa do pracy zawodowej kobiet—P. Jak rozwiązać sprawę bezrobotnych—C. W. Wychowawstwo—K. S. Jarzębinowa ziemia (dokończ.)—Marja Dąbrowska. Wiersze—Julja Dicksteinówna. List z podróży—Tekla Knoll-Wittigowa. Zakład—Marja Jehanne-Wielopolska. Blutek i Kania—Zofja Nałkowska. Wypadek samochodowy (nowela)—Paul Bourget; tłum. M. D. Drogami duszy (powieść) c. d.—Helena Ceysingerówna. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.)—K. Bielańska. Tysiąc pięćset kilometrów między niebem a ziemią—Jadwiga Krawczyńska. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet—I. Fabrycowa. Z książek—M. D. Z Teatrów—p—a. Z życia stowarzyszeń kobiecych. Wpływ życia aktualnego na modę—Sekwa. Woreczki (—). Wskazówki praktyczne—Pani Elżbieta. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” tom II, (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu.” Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW.

Stosunek państwa i społeczeństwa do pracy zawodowej kobiet

Już niejednokrotnie na łamach „Bluszczu” podkreślaliśmy, że praca zawodowa kobiety współczesnej jest w epoce powojennej zjawiskiem tak powszechnym, iż przejść ponad niem do porządku dziennego nie sposób. Jest to kwestja, którą należy głęboko i wszechstronnie przemyśleć i przeanalizować, gdyż uczuciowe potraktowanie tej sprawy jako „zła koniecznego”, jest tylko głośłownym frazesem, który wartki prąd życia odtrąca i miażdży.

W artykule p. t. „Ważne zagadnienie” (w № 41 Bluszczu) oraz w art. „Ognisko domowe—a praca zawodowa kobiety współczesnej” (w № 43) omawiałam tę kwestję i wysunęłam twierdzenie—że praca zawodowa jest nie tylko dla kolosalnego procentu kobiet koniecznością, ale że coraz

częściej jest ona traktowana przez współczesną kobietę jako niezbędny czynnik składowy jej osobistego życia, juko temat poważnych zainteresowań i niejednokrotnie, jako źródło głębokiego zadowolenia.

Zagadnienie to przedstawia się prosto, gdy mówimy o kobietach niezamężnych,—ale każda z nas rozumie jasno, że skomplikowanie sprawy zaczyna się dopiero w momencie, gdy na kobietę spadną obowiązki żony—a przede wszystkim obowiązki matki. Chyba nikt nie ośmieli się twierdzić, że kobieta, która nie ma kapitałów, zapewniających jej egzystencję materialną, nie powinna wychodzić za mąż—a przynajmniej nie powinna mieć dzieci. Gdybyśmy zaryzykowali takie twierdzenie—musielibyśmy skazać na celibat znaczny procent naszej inteli-

gencji pracującej — nie mówiąc już o robotnikach fabrycznych—a wątpię, czy to leżałoby w interesie państwa i jego przyszłości.

Tymczasem, jeżeli przyjrzymy się stosunkom, panującym u nas, przekonamy się łatwo, że społeczeństwo nasze do pracy zarobkowej matek odnosi się tak, jakby tolerowało ją z musu, jako zło konieczne, które należy tępić i niszczyć. Ileż znam takich instytucji, w których kobiecie—spodziewającej się zostać matką, daje się zupełnie wyraźnie do zrozumienia, że właściwie najsluszniej postąpi, jeżeli możliwie szybko poprosi o zwolnienie z zajmowanej posady. W jednej ze znanych szkół — nauczycielce, która wyszła za mąż i miała dziecko—dyrektor gimnazjum podziękował za

pracę—twierdząc, że przecież już nie będzie mogła poświęcać tyle czasu i energii swym obowiązkom nauczycielki i wychowawczynie, jak to czyniła dawniej. Ileż razy notowałyśmy w naszych kołach kobiet pracujących, wolałające o pomstę do nieba fakty, gdy młoda matka — wracająca ze szpitala do swej pracy zawodowej, znajdowała z uprzejmą miną udzieloną dymisję, umotywowaną jej macierzyństwem.

Toteż kobieta zameżna i matka kilkorga dzieci ma dziś do przezwyciężenia niesłychane trudności, jeżeli chodzi o znalezienie posady: — społeczeństwo rzuca jej pod nogi kamienie, czyni jej niemy — ale jakże wyraźny wyrzut za jej macierzyństwo i wreszcie zmusza ją do tego, by sama licytowała in minus swą pracę. Na tem polu cynizm ludzki dochodzi do niebywałych rozmiarów. — „Tak! istotnie płacę bardzo niską gażę pani X“ — mówi szef dużego biura w Warszawie „ale p. X ma dwoje dzieci, dzieci często chorują, matka opuszcza dużo dni pracy, niech Bogu dziękuje za to, co ma, bo przecież nigdzie jej nie przyjmą“. Chlebowodawca urasta we własnych oczach do rozmiarów dobroczyńcy ludzkości — a biedna pracownica przymiera głodem.

Niedawno cały świat kobiecy londyński został poruszony nowem rozporządzeniem, które rozciąga obowiązujący celibat na wszystkie nauczycielki i na lekarki, pracujące w szpitalach miejskich. Zakrawa to na tragi-farsę — i musi odpowiedniem echem odezwać się już nie tylko w Anglii, ale w całym świecie. W tem całym rozporządzeniu jest tylko jedna strona szlachetna — jest nią szczerść — co prawda posunięta do brutalności, ale szczerść.

U nas — dzieje się to samo — tylko pod różnemi, tysiącznemi płaszczkami. Przecież dziś w każdym niemal biurze i w każdej fabryce lepiej jest widziana kobieta, uprawiająca zręcznie zamaskowany nierząd — niż matka, pracująca na życie swej dziatwy.

Sytuacja, która się wytworzyła dziś w świecie powojennym wogóle, a w Polsce przedewszystkiem jest rozbijaniem rodziny tak robotniczej, jak rodziny inteligencji, oraz wielką i świetnie prowadzoną propagandą bezdzietności małżeństw.

Kwestja jest poważna i niecierpiąca zwłoki.

Wiemy, że w lipcu roku bieżącego została uchwalona przez nasze ciała prawodawcze „Ustawa ochrony pracy młodocianych i kobiet“. Ustawa ta, choć grzeszy niedomówieniami, jest dużym postępem w sprawie ochrony macierzyństwa. Państwo bierze w opiekę kobietę, mającą zostać matką, państwo sankcjonuje prawo do opuszczenia dni pracy (6 dni w ciągu jednego miesiąca) w całym okresie ciąży, uprawnia ją do korzystania z 6 tygodniowego urlopu przed porodem (o ile sobie matka tego życzy) i zabrania jej powracać do pracy wcześniej — niż w 6 tygodni po urodzeniu dziecka, przyczem państwo nie dopuszcza, by w ciągu wszystkich powyższych przerw pracodawcy wymawiali pod jakimkolwiek bądź pozorem pracę zatrudnionej kobiecie.

Za przekroczenie jednego z tych przepisów pracodawca jest karany aresztem do 6-tygodni. Jest to, jak widzimy, duży krok naprzód. Coprawda — jeszcze przed wejściem tej ustawy w życie cały szereg instytucyj stosował do swych pracowniczek powyższe zasady.

Ale to były wyjątki. Do wyjątków zaliczam takie fakty — jak ten — który przytoczę poniżej: na jednej z pierwszorzędných pensyj warszawskich nauczycielka przez cały czas swej choroby otrzymywała pełną gażę nauczycielską wraz ze wszystkimi dodatkami i to nie tylko w ciągu owego 12 tygodniowego, przewidzianego w Ustawie urlopu, ale w ciągu długich 8 miesięcy jej niesłychanie ciężkiej — i grożącej życiu choroby. Po powrocie do zdrowia — matka objęła nadal swą pracę — choć między przełożoną a zastępczynią chorej wywiązały się bardzo serdeczne i przyjazne stosunki i choć zastępczyni była młodą panną, nie „obarczoną“ dziećmi — które według wielu chlebowawców są czarną plamą na liście kwalifikacyj każdej pracującej kobiety. Ale to są wyjątki! Bo sama byłam świadkiem sceny innej, gdy pracodawczyni — i to kobiety bardzo uspołecznione i bardzo zacne — jeszcze przed wejściem w życie wyżej wspomnianej „Ustawy“, głęboko namyślały się, czy dać swej zasłużonej pracownicy 4 czy 6 tygodniowy płatny urlop! Ha trudno! Dużo niestety racji jest w paradoksie, że największymi przeciwniczkami praw kobiety — są same kobiety! Ale sprawy są poważne — toteż nigdzie może solidarność świata kobiecego nie

jest tak ważną i tak niezbędną, jak właśnie w dziedzinie tych zagadnień.

Trzeba jednak sobie uświadomić, że choć lipcowa ustawa jest dużym krokiem naprzód, to jednak sprawy pracy zawodowej kobiet jako wielkiego zagadnienia społecznego w całej jego rozciągłości nie rozstrzyga. Tą kwestją zainteresować się i przemyśleć musi całe społeczeństwo!

Przedewszystkiem musimy poddać głębokiej analizie przygotowanie do pracy zawodowej naszych dziewcząt. Obserwacja życia praktycznego pouczy nas, że kobieta, pracująca od godz. 9 — 4-ej po południu, jest zawsze w nieskończenie gorszym położeniu jako matka, niż kobieta, której praca zawodowa wymaga bardziej intensywnego, może bardziej wyczerpującego, ale tylko kilkogodzinnego wysiłku.

Weźmy przykład — o ile łatwiej może pogodzić swe obowiązki matki i fachowca nauczycielka matematyki, która — jako etatowa nauczycielka w gimnazjach państwowych obowiązana jest do 18-tu godzin na tydzień, niż, dajmy na to, buchalterka bankowa — pracująca 42 godziny na tydzień. Dlatego praca biurowa, którą taki kolosalny procent kobiet traktuje, jako swój fach — jest stanowczo najmniej wskazaną — i to pod każdym względem. Mógłby mnie tu spotkać zarzut teoretycznego traktowania sprawy, — bo przecież orientujemy się doskonale, że większość prac zarobkowych wymaga t. zw. godzin urzędowych — i to raczej gorzej przepracowanych, byle tylko nie skróconych. Większość fachowych prac jest związana koniecznością 8 lub 7-godzinnego dnia pracy poza domem. Stoimy przed najpoważniejszą trudnością! Z tej sytuacji — jest jedno tylko wyjście: inicjatywa społeczna. Tylko wielki, zorganizowany, zdrowo pomyślany wysiłek społeczny może tu przyjść z pomocą.

A więc przedewszystkiem zakładanie sal dziecięcych. Matka, idąca do pracy, odnosi lub przyprowadza swe dzieci i zostawia je pod opieką wykwalifikowanych, odpowiedzialnych opiekunek. I to nie tylko dzieci starsze — ale nawet niemowlęta. Wygląda to na amerykański pomysł — ale czyż nie jest to stokroć szczęśliwsze wyjście, — niż pozostawianie dziatwy na opiece nie wykwalifikowanej służącej, która speł-

nia swe obowiązki byle jak i byle zbyć—bez żadnej kontroli. Czyż nie spokojniejszą będzie matka, która musi zarabiać poza domem, gdy działwę swą zostawi w jasnej, higienicznie urządzonej—czystej sali dziecięcej pod opieką kobiet, które do pracy wnoszą fachowe przygotowanie, sumienność, a nadewszystko zamiłowanie!

Prócz takich sal dziecięcych rozrzuconych po całym mieście i przedmieściach, — musi się stworzyć wzorowo prowadzoną szkołę dla pielęgniarek i wychowawczyń, która dostarczać będzie wykwalifikowanych pracowników do domów prywatnych. Korzystać z nich będą matki, mogące sobie pozwolić na luksus specjalnej pielęgniarki — wychowawczynie. Czyż liczne u nas organizacje kobiece—wiodące nieraz mało treściwy i suchotniczy żywot—nie zainicjują tej pracy, o którą wielkim głosem woła konieczność.

A teraz jeszcze jedna konieczność. Musi w Polsce powstać wielkie Towarzystwo Ubezpie-

zeniowe, do którego powinny należeć — jeżeli nie wszystkie kobiety, to przynajmniej wszystkie matki. — Towarzystwo to, zorganizowane na realnych podstawach finansowych, będzie mogło udzielić matce w okresie ciąży lub pogoju, względnie w czasie choroby jej dzieci dogodnych pożyczek krótko lub długoterminowych.

Ta myśl nie jest utopją — mocne i energiczne ręce kobiece, które ją podejmą, zbudują jedno z największych dzieł w Polsce Niepodległej.

Jest wielki obszar pracy, którą trzeba wykonać, wielka dziedzina wysiłków — którą trzeba przekroczyć z odwagą i wiarą we własne siły. To nie są frazesy, to nie są zagadnienia, które można odsuwać jak zmoreę z dnia na dzień — z godziny na godzinę. Kobiety przy warsztacie pracy zarobkowej postawił mus, konieczność dnia, nie widzimy żadnych znaków ani na ziemi, ani na niebie, któreby wróżyły możliwość powrotu do dawnych stosunków z czasów naszych prababek.

Kobieta pracuje zawodowo, bo musi i chce pracować. Ale niech ten wielki przewrót społeczny nie rozbija i nie niszczy rodziny—bez której zmarnieje życie ludzkości, niech nie stwarza anormalnych dziwolągów, jakimi są małżeństwa bezdzietne, niech nie mnoży maleńkich mogił dzieciątek, które zabiło przepracowanie matki, lub brak rozumnej opieki. Fala życia wyniosła na swym potężnym grzbiecie to wielkie zagadnienie, które zapukało do okien naszych domów. Musimy wyjść na jego spotkanie, nie z błagalnym złożeniem rąk — które modlą się o prędką odmianę, ale z mężnym i śmiałym wysiłkiem ducha i mięśni, z wysiłkiem, który tworzy cuda.

Kobieta, którą wychowała wielka wojna światowa, która wyszła z niej nie z cynicznym uśmiechem, tej co wszystko poznała i niczemu się nie dziwi, ale która w ogniu niebezpieczeństw i wielkich porywów zdobyła hart ciała, i ducha — taka kobieta nie załamie się w obliczu tego poważnego zagadnienia.

JAK ROZWIĄZAĆ SPRAWĘ BEZROBOTNYCH

Z zagadnieniem tem boryka się dziś cały świat. Najbogatsze, najbardziej przemysłowe państwa jak: Anglja, Ameryka, Niemcy, Japonja nie mogą zatrudnić milionów rzesz roboczych. Rodzą się powikłania, grożące naruszeniem spokoju wszechświatowego. Między Ameryką a Japonją np. powstał silny konflikt z powodu niedopuszczania obecnie do Stanów Zjednoczonych emigrantów japońskich, którzy — wobec przeludnienia w kraju swoim — muszą szukać pracy gdzieindziej i tłumnie, jak dotąd, wędrowali na drugą półkulę. Ameryka ograniczyła wogóle dopływ żywołów obcych, wyznaczając dla każdego kraju t. zw. „kwotę“ roczną, po za którą żaden emigrant nie może być przyjęty. Pogorszyło to znacznie warunki krajów, cierpiących na przesyt podaży w stosunkach do zapotrzebowania i wywołując niekiedy stan beznadziejny — poza widokami na lepsze jutro.

Nasz kraj względnie został dotknięty mniejszem bezrobociem, aniżeli przodujące środowiska ruchu przemysłowego.

Statystyka Państwowego Pośrednictwa Pracy wykazuje: w styczniu

r. b. 28938 mężczyzn i 9917 kobiet, poszukujących roboty. W lipcu rośnie cyfra. Jest już 50078 mężczyzn i 11471 kobiet bez pracy, a umieszczony został niewielki zaledwie procent—7720 mężczyzn i 2712 kobiet, gdy w styczniu znaleziono robotę niemal dla połowy mężczyzn (13194) i więcej niż połowy kobiet (5694).

Umieszczenie większej ilości kobiet należy przypisać temu, iż do państwowego pośrednictwa pracy zgłasza się znaczna ilość służby domowej żeńskiej, zawsze poszukiwanej (w lipcu 3714 kobiet na 718 mężczyzn) gdy zaś pracownicy męscy stanowią prawie w połowie kadry niewykwalifikowanych.

Bezrobocie doszło u nas do najwyższego napięcia w początkach września r. b. (163000 osób). W początkach października jednak cyfra bezrobotnych spadła do 153000.

Rząd — nie zważając na fluktuację liczbową — musiał pomyśleć o zabezpieczeniu rzesz, pozbawionych pracy i—śladem krajów zagranicznych doszedł do wniosku iż należy stworzyć stały fundusz bezrobocia, zabezpieczający nietylko jednostki, odsunięte od warsztatów pracy, ale i ich rodziny.

Choćby państwo bowiem przeznaczyło jak największe sumy na inwestycje krajowe dla zatrudnienia bezrobotnych, nie zdoła nimi objąć wszystkich z tej prostej przyczyny, iż tkacz, monter technika prądniczka, grawer, grawerka, polerowaczka, faszownicza nie podoleją tłuczeniu kamieni na szosie lub dźwiganie wielkich ciężarów przy odbudowie mostów, dróg, kolei.

Dn. 18 lipca r. b. wyszła Ustawa o zabezpieczeniu na wypadek bezrobocia (Dz. Ustaw 67 poz. 650 rok 1924), a dnia 2 września tegoż roku (Dz. Ustaw № 79 poz. 77) zostało wydane rozporządzenie Ministra Pracy i Opieki Społecznej w porozumieniu z Ministrem Spraw Wewnętrznych w sprawie trybu postępowania zarządów obwodowych funduszu bezrobocia.

Obowiązkowi zabezpieczenia na wypadek bezrobocia podlegają w myśl Ustawy robotnicy, bez różnicy płci po skończeniu 18 lat życia, pracujący w przedsiębiorstwach przemysłowych, górniczych, hutniczych, handlowych, komunikacyjnych i innych o ile zatrudniają one powyżej 5 robotników. Fundusz powstaje z wkładów odnośnych zakładów pracy (2% od każdorazowo wypłacanych zarobków

robotnika) z dopłat Skarbu Państwa (50% kwoty, należnej funduszowi), z odsetek od kapitałów, stanowiących fundusz bezrobocia, z dochodów nadzwyczajnych, jak zapisy, dotacje Sejmu, Rządu, samorządów, wreszcie — z kar pieniężnych, nakładanych za przekroczenia przepisów Ustawy.

Z funduszu korzystają rodziny bezrobotnych, a więc — żona niezarobkująca, względnie mąż, dzieci, pasierby, rodzeństwo do lat 16 oraz ponad lat 16, ale niezdolne do zarobkowania; dzieci, pasierby i rodzeństwo od lat 16 do 18, kształcące się w średnich zakładach, wreszcie rodzice, dzieci, a nawet dziadkowie, niezdolni do zarobkowania.

Akcja zabezpieczeniowa, na którą Rząd wstawił do budżetu dodatkowego sześć milionów złotych na najbliższe miesiące, obejmuje — jak widzimy — tylko robotników fizycznych.

Gdzie pracownicy umysłowi?

Przestano troszczyć się o nich czasu wojny i po wojnie, choć pierwsi ponieśli krew swoją za Polskę, pierwsi stanęli na szanach obrony.

Bezrobocie równie dokuczliwie jeżeli nie więcej, dotknęło inteligencję polską, tem nieszczęśliwszą, iż pozbawioną zupełnie pomocy i opieki skądkolwiek.

Niema dnia, aby dzienniki nie podawały wypadków samobójstw z powodu braku pracy. Gdy będziemy śledzili tę rubrykę uważnie, doszlibyśmy do wniosku, iż znaczną część stanowi inteligencja przy górującej liczbie kobiet.

Jakiś zły wiatr powiał w stronę oceny ich pracy. Redukcja w urzędach państwowych i prywatnych obejmuje przeważnie biuralistki — samotne czy obarczone rodziną. Zostają te tylko, za którymi stoi twardy mur pleców. Pan dyrektor, czy pan naczelnik nie pyta wówczas, na co wyperfumowanej, uróżowanej damie posada: na coraz modniejsze kapelusze, czy — może — jako parawan opinii. I nie wgląda, co i jak robi, bo wszystko jedno i tak musi ją zatrzymać.

Z pomiędzy zredukowanych niektóre — zabieglisze, przede wszystkim obdarzone skarbem w postaci własnych mieszkań, otwierają stołownię u siebie. Inne z biuralistyki — przerzucają się do krawiectwa, bielizniarstwa, modniarstwa, o ile mają jakiegokolwiek zdolności ku temu. Jeszcze inne wyjeżdżają na kresy, gdzie łatwiej o pracę. Do tej kategorii należą przeważnie były nauczycielki, które z powodu choroby gardła, tej chronicznej dokuczliwości pedagogów, nabywanej z biegiem lat, porzuciły swój zawód pierwotny.

Są rzesze wdów, obarczonych dziećmi, są kobiety, utrzymujące młodsze rodzeństwo lub starych, nieodłącznych rodziców. Jeżeli na nią padnie redukcja, pozbawiając ją tych głodowych pensyj, jakie biorą obecnie urzędnicy państwowi i prywatni, — co im pozostaje. Ruszyć się z miejsca nie mogą, bo jakżeż ciągnąć cały tabor za sobą? Nigdzie oparcia, nikąd deski ratunku.

Państwowy Urząd Pośrednictwa Pracy wykazuje wśród bezrobotnych w lipcu 3342 pracowników i 1042 pracowników umysłowych. Jest to cyfra, która właściwie mówi niewiele, do

państwowych biur zwracają się bowiem bardzo nieliczne zastępy inteligentów, wiedząc, iż tą drogą rzadko kiedy mogą zdobyć pracę. Gdy w ciągu lipca bowiem umieszczonych zostało 4012 niewykwalifikowanych robotników i 1236 służących kobiet (na 132 służących, mężczyzn), z pośród pracowników umysłowych otrzymało posady zaledwie 220 mężczyzn i 38 kobiet. Zdolne, wykwalifikowane i rutynowane biuralistki muszą chwycić pierwszą lepszą robotę, za byle co — za 100, 120 zł. miesięcznie, aby nie umrzeć z głodu.

Położenie rozpaczliwe. A inteligent, stojąc na stanowisku obywatelskim, chce mężnie przetrwać okres uzdrowienia skarbu, nie burzy się, cierpi w milczeniu.

Alarmy prasy i niewinne protesty w rodzaju jednogodzinnego strajku urzędników biurowych, bankowych i innych, jak np. w Łodzi przed paroma tygodniami dla zaznaczenia buntu przeciwko pominięciu pracowników umysłowych w ustawie o ubezpieczeniu od bezrobocia, — strajku, zorganizowanego przez międzyzwiązkową komisję pracowniczą, pobudziły sfery rządowe do rozważania ciężkiej krzywdy bezrobotnej inteligencji. Ostatnie dzienniki donoszą, że Minister Pracy złożył Radzie Ministrów projekt Ustawy o ubezpieczeniu pracowników umysłowych na wypadek bezrobocia.

Przyszło opamiętanie.

Ale kiedy projekt zostanie zrealizowany? — Zanim obiegnie komisje i dojdzie do plenum Sejmu, zaświta wiosna. Tymczasem — niech marznie i zamiera z głodu bezrobotny inteligent.

C. W.

WYCHOWAWSTWO

I

Nie wiem, gdzie i kiedy powstał termin: wychowawstwo, jakie miał zastosowanie i jaki był wtedy jego stosunek do pokrewnego wyrazu: wychowanie.

Biorę go w tem znaczeniu, w jakim dziś jest używany i w zastosowaniu, jakie spotykałam w praktyce.

Wychowawstwem nazywa się dziś pewna funkcja nauczyciela, polegająca na...

I tu trzeba zaraz na wstępie odróżnić teorię od praktyki, ideał od rzeczywistości, jednym słowem: cel od wykonania.

Zadaniem wychowawcy klasowego jest w teorii niezawodnie wychowywanie uczniów danej klasy. Nie wynika z tego, aby inni nauczyciele, uczący w tej klasie, nie mieli obowiązku wychowywać, albo by on go nie miał w stosunku do uczniów innej klasy. Chodzi tu raczej o pewną rolę

kierowniczą, o rodzaj koncentracji i wzmoczonej odpowiedzialności.

Obowiązkiem wychowawcy klasowego jest: czuwać nad powierzonym młodzieżą i kierować pracą wychowawczą w danej klasie. Ma on być do pewnego stopnia sędzią i obrońcą, przedstawicielem i łącznikiem w stosunku do reszty nauczycieli, a przede wszystkim opiekunem i doradcą we wszystkich sprawach. Przysługuje mu prawo żądania od kolegów świadczeń wychowawczych na

rzecz swojej klasy i ciąży na nim obowiązek odpowiedzialności za nią wobec reszty nauczycieli. Wychowawstwo ma być właśnie tym głównym rdzeniem i ośrodkiem wychowania szkolnego, jak macierzyństwo ma niem być w zakresie domowym.

Tak być powinno, czyli tak jest w teorii. A w praktyce?

Zastrzegam się z góry, że nie mówię o wyjątkach, które może nie tyle potwierdzają regułę, ile wogóle niczego nie dowodzą. Chodzi o wypadki przeciętne, o doskonałą ich większość.

Otóż w praktyce do wychowawcy klasowego należy: utrzymywanie w porządku dziennika, pisanie wykazów przerobionego materiału i protokołów konferencji dla władz szkolnych, informowanie rodziców o postępach uczniów, prowadzenie klasy do kościoła i na pochody, urządzenie przedstawień szkolnych, uroczystości i t. p. Dodajmy do tego, że każdy wychowawca jest przecież poza tym nauczycielem i ma przeciętnie dwadzieścia kilka godzin lekcji tygodniowo, poprawianie zadań, popołudniowe ćwiczenia w pracowniach, wycieczki, sesje pedagogiczne — no i opiekę nad gminą klasową.

Trzeba przyznać, że w ramach tych najróżnorodniejszych zajęć można by nawet i wychowywać, gdyby... ach gdyby czas i siły ludzkie nie były tak bardzo ograniczone! W praktyce dzieje się to, co się w takich wypadkach dzieć musi; z nadmiaru obowiązków wychodzi minimum osiągniętych rezultatów, formalistyka, powierzchowność, zbywanie — w każdym razie wszystko inne, a nie wychowywanie młodzieży. To też w Małopolsce przynajmniej używają na określenie tego zajęcia wyrazu bardziej dostosowanego do istoty rzeczy, a miano-

wicie: gospodarstwo. I rzeczywiście to, co jedynie w tych warunkach zrobić może przeciążony nauczyciel, to jest mniej lub więcej sprężyć się kierować życiem zewnętrznym, sprawami czysto administracyjnymi swojej klasy. Na nic innego nie starczy już ani czasu, ani sił, ani nawet chęci.

A jednak szkoła ma nie tylko kształcić, ale i wychowywać. Wychowywanie zaś jest jej zadaniem conajmniej równie ważnym, jak nauczanie.

Jakie wyjście z sytuacji?

Tu znowu niestety wejść muszę w kolizję z bardzo słuszną wprawdzie, ale niezawsze racjonalnie stosowaną zasadą oszczędności państwowej. Czy wskazanem jest np. robienie oszczędności na dobrej uprawie roli, lub na racjonalnej hodowli? A przecież śmiem twierdzić, że odpowiednie wychowanie młodzieży w o wiele wyższym stopniu się opłaca i to nie tylko w znaczeniu ideowym, ale w rozumieniu praktycznym, gospodarczym. Powiedział to zresztą u nas już bardzo dawno St. Szczepanowski, że w każdej pracy: na roli, czy w przemyśle, w każdej fabryce, w każdym przedsiębiorstwie najważniejszą rzeczą jest zawsze jakość materiału ludzkiego. A jeśli tak, to urobienie i przygotowanie tego materiału do dzielnej i wydajnej pracy jest chyba inwestycją

państwową, która opłaca się więcej, niż cokolwiek innego.

Na szkolnictwie i wychowaniu publicznym nie wolno robić oszczędności. To się mścić musi — może mniej doraźnie i nie tak widocznie, jak np. złe nawożenie gruntu, lub zła hodowla, ale za to o wiele dotkliwiej. Czyż nie widzimy skutków tego na puściznie po zaborcach, po latach niewoli? Czyż nie powtarzamy na wszystkie tony codziennie, że ludzi nam trzeba, dzielnych ludzi?!

Skąd ich wziąć?

Szkoła w tych warunkach, w jakich się obecnie znajduje, nie może mimo najlepszych chęci wywiązać się ze swego zadania. Bo nie dajmy się złudzić pięknym słowom czytanim, w programach i sprawozdaniach szkolnych, wzniosłym i poetycznym enuncjacjaom na obchodach i uroczystościach. Są to bezwątpienia szlachetne odczucia i zacne chęci, ale twarda rzeczywistość musi im stanąć na przeszkodzie.

Trzeba raz jasno i szczerze zdać sobie sprawę z tego, że przy najgłębszym zrozumieniu swojego zadania i przy najgorętszych chęciach nawet nie może nauczyciel-wychowawca spełnić należycie swojego obowiązku. Znadto jest przepracowany, a klasy zbyt przepełnione, aby na serio można było o tem myśleć.

Przebija to wyraźnie w pesymistycznych rozmowach nauczycieli, którzy sami nie wierzą w swój wpływ wychowawczy. A z drugiej strony coraz częściej podnosi się głos opinii publicznej, że młodzież się psuje, dziczeje, coraz głośniejsz brzmią skargi na jej zachowanie się w pociągach, tramwajach, na ulicy.

Tego lekceważyć dalej nie wolno!
(c. d. n.).

K. S



M A R J A D A B R O W S K A

J A R Z Ę B I N O W A Z I E M I A

(Dokończenie)

SPOJRZENIE GDAŃSKA.

Oto Gdańsk, czarny, purpurowy i złoty przebija niebo iglicami Marjakkami, i rozdziera je żelaznymi dźwigarami portu — ściskając ramionami Raduni, Mołtawy i Wisły — łachy swych plennych żuław.

Oto Gdańsk, fantara złota, klejnotów i podróży, jedyna polska epopeja północy, ojczyzna Jana z Kolna i Pawła Benecke, Jeremjasza Falka i Daniela Chodowieckiego — i też jeszcze ojczyzna polskiego zbytku szaf,

kufrów, wódek, talerzy, dzbanów, kafli, sztychów, skrzypiec, organów, serwisów, pasów, wyrobów złotniczych i miedzianych — najpiękniejszej sztuki stosowanej, rozrzuconej po całej Polsce. — Oto czem był!

I jeszcze ponadto był miastem, gdzie życie przelewało się przez brzegi — miastem wyróżnionem przez krzyżaków, a potem cichem w ich ucisku — miastem obsypanem przez Polskę przywilejami, dławiać się od nadmiaru praw i łask — i buntując się przeciw Polsce. Miastem, które mordowało frei-

biterów — żeglarzy Rzeczypospolitej — i miastem, które jedyne na obszarze Polski zbrojnie protestowało przeciwko rozbiorowi. Miastem chrytem, i szczodrem, miastem sprzecznosci, kaprysu, sprytu, podstępny i pychy — miastem, którego charakter urabiał się pod wpływem wielkiego handlu i szalonego bogactwa. — Jego patrycjusze nie mogli się pomieścić ze swym przepychem w ścianach domu — i wynosili się na swe piękne przedproża, beiszlagi wsparte na groźnych kulach. Tam przyjmowali gości, zawierali transakcje, bawili się, czynili

wyznania miłosne, gościnni i jawni — pyszni i skromni zarazem, gdyż kapiące od wystawnych makat i zastaw przedproża — starczyły im za ogród.

I jeszcze raz pokorni i pyszni zarazem, gdy wynosząc swe życie prywatne na ulice, w kościołach budowali dla siebie zamknięte łóża, gdzie nikt nie mógł widzieć, jak się modlą — Oto jacy byli.

Dzisiejszy Gdańsk jest echem i cieniem tego dawnego. I nie chce już być dawnym wielkim Gdańskiem, nie chce nawiązać zerwanych nici — przez swoją nową pruską przekorę.

* * *

Przyjechaliśmy rano i od razu postanowiliśmy nic nie zwiedzać, tylko przewędrować sobie miasto z lekkim sercem i bez przewodnika.

Więc najpierw zobaczyliśmy, jak w sercu Starego Przedmieścia dygocze i dudni olbrzymi młyn krzyżacki, w którym przez wieki, aż po dziś dzień miały zboże. — Z jego spadzi stego, potężnego dachu kilkadziesiąt mansardowych okienek patrzy jak tyłu bacznym żrenic. — Jest cały purpurowy, ciemny jak zapiekła krew. — Czarne, cichutkie wody Raduni cieką obok niego głębokim, wąskim nurtem, ciągnąc w swej ciemni poprzerywane smugi czerwone, szare, białe, zielone — odbicia nieba, drzew, zaułka. Zaułek jest tak stary, gotyckie domki tak wąziusieńkie i małe okna tak pełne kwiatów! Szafirowe niebo gorącym tchnieniem przepychu owija tę czcigodną starość, zieleń drzew napelnia ją balsamicznym życiem, a dachy są od słońca całe w czerwonych iskrach. Nad zaciszną starożytnością panuje szkariatna wieża świętej Katarzyny, gotycka lecz z późniejszym, zielonym, hełmiastym, wesołym szczytem, — i z godzinami, które spływają z tego szczytu w fali precudnych dzwonów, dzwoniących długo nad miastem swoje stare melodie. A gdzieindziej roztrącany zda się przez potężny kościół Panny Marji (granatowy w cieniach i ciemny jak wino w słońcu) — pieni się naokoło tych olbrzymich gotyckich murów Gdańsk późniejszy, renesansowy, barokowy, rokokowy. Mglista Holandia i słoneczne Włochy walczyły tu o wpływy i zwyciężała Holandia.

Wszystkie prawie ulice wyoźdobił współczesny, mieszczański renesans, obywający się bez szerokiej fasady — lecz za to z olbrzymimi oknami oszklonemi w drobną kratkę. — Złote i kolorowe ściany, rozety, portale, zworniki, medaljony z głowami cesarów, maskarony — dawne gotyckie schodkowe szczyty, wykręczone w arkady i ślimacznice — ozdobione figurami — wszystko to czyni z ulic iskrzącą bajkę.

A oto zwycięstwo Włoch — szeroka fasada Zielonej Bramy — i oto jesteśmy nad Motławą.

Wody jej kolorowe są od kolorowych murów i pokratkowane, przerwane odbiciem czarnego belkowania spichrzów — teraz przeważnie pustych.

Jak zadumany, pałący fajkę olbrzym, stoi nad wodą wielki, purpurowy dźwigar, zwany Żóraw i pusty jest już zawsze hak jego łańcucha.

Nad Motławą krążą mewy, a małe statki drzemą przy brzegu i woda stuka po ich bokach.

Gdy idziemy, to kolejno przez wszystkie bramy nadbrzeża spoglądają na nas stare uliczki miasta — płowe, niebieskie i złote w oddaleniu.

Jeszcze rzucamy okiem na targ rybi i owocowy na berlinkach wprost

rozpostarty, — mała parodia tego, co kiedyś rysowali Norblin i Chodowiecki. — Jeszcze napasiemy wyobraźnię widokiem Gospody Miasta Londynu, przylepionej do staromiejskich baszt i położonej na ulicy „nad Szumiącą Wodą“.

A potem, śpiesząc się, gdy zmrok niedługo, przy Żórawiej Bramie, wpadamy w ósemkę i jedziemy do Nowego Portu i Brzeźna.

Chmury fioletowe, rude i amarantowe sklepiają się coraz niżej nad Motławą, prom pełnie na poprzek wody, nieduże statki cisną się wzdłuż brzegów — a nagle wielki „steamer“ zasłonił nam wodę i stoi tuż jak wysoki dom, wyrastający jakby z lądu, ponabijany okrągłymi oknami kajut, w których już zapalono światła. Na pokładzie kręcą się ludzie w powszednich zabiegach jak po podwórzu — lub skwerze. — Powiało nagle nieuchwytnym łękiem odpłynięcia i podróży,

Teraz tramwaj przesunął się przez dworzec portowy, przez nieskończone szeregi cystern, szop i wagonów — a teraz gwałtownie zafacza się wśród niskich, przykrytych konarami drzew uliczek Nowego Portu.

Domki łagodnym dachem spadają prawie do ziemi — małe, kręte przecznice są pełne garbatych dachów, belkowanych szczytów i kwiatów za płotkami.

Na placach pośród drzew tańczą i skaczą dzieci — podbijając dętkę, wielką piłkę z ogonkiem, którą same nadmajają. Jest to ta sama dętka, którą się kładzie do piłki futbolowej. — Zyskała sobie prawo obywatelstwa sama w sobie, i teraz jest bardzo w modzie.

A oto Bszeźno. Malutka, ludowa plaża Gdańska. — Na placu przy kurhauzie obraca się karuzel — ze swą ryczącą muzyką, w kramach jaśnieją światła. — Tu strzela się do celu, a tam wróżą ci przyszłość. — Brzegiem szczupłego lasku sosnowego idziemy na plażę.

Już od trzech dni dmie silny wiatr z morza. — Gniewne fale ciemnooliwkowe piętrzą się w cztery rzędy pian i z hukiem trzaskają o molo.

Na lewo Radłów i Oksywia ciemnieją mocno pod żółtą pręgą zorzy.

W ten burzliwy, huczący wieczór, Gdańsk wygląda teraz jak kiedyś Bruges, patrzące na wschodzącą potęgę Antwerpii. Wygląda jak gniewne spojrzenie pysznego starca na coś, co jest niczem wobec niego — na małą Gdynię, przyczajoną pod fioletowym cieniem Oksywskiej Kępy do szalonego skoku, wracając od zuchwałej młodości, i budującą w dzikich spiesznym wysiłkach swoją jutrzejszą potęgę.

JULIA DICKSTEINÓWNA

S Ł O W O

Słowo jest klamrą, która nam splata niewidzialnego zagadkę świata i dotykalne kształty przestrzeni, tęczy blask i szarość polnych kamieni.

Słowo jest klamrą, co ciała ciemnie i duszy jasność spina tajemnie, a na nieznanie życia poczęcie swoje niebieskie kładzie pieczęcia.

Słowo, ptak boży, wolne polata po nieobjętych otchłaniach świata, wśród zagrobowych błędzi pustkowi, mgławicom jutra śnieżny puch łowi,

zaś nieskończoność, widmo straszliwe, na swoją wdzięczną bierze cięciwę, i odebrawszy światów posadzie, jak dar zdobyczny u stóp nam kładzie.

ROZDARCIE

*We mnie jest razem burza i rosa.
Dwugłosem grają gromy i tęcze,
Zastygłe w dumie szklane niebios,
Złoty jesieni przedze pajęcze.*

*We mnie jest razem płomień, co grzeje,
I mróz co w serce sztyletem wnika,
Nieuskromione sławy nadzieje
I zgięty smutnie grzbiet niewolnika.*

*W mej duszy miłość pożarem wstaje
I gaśnie w krwawych furiach poświście,
Są wonne czarem rozkoszy gaje
I grób, gdzie serce strącam wieczyście.*

LIST Z PODRÓŻY

Gdyśmy, opuszczając olbrzymi Paryż w słoneczny, lipcowy ranek podjechali pod dworzec na Quai-d'Orsay, na nasze spotkanie wyszedł niemłody, ponury tragarz. Zabrał walizki i poszedł naprzód milcząc, my za nim. Dopiero gdy trzeba było nadać багаż, zwrócił się do nas i zapytał o miejsce przeznaczenia.

— Do Vannes, w Morbihan—powiedzieliśmy.

Ponury tragarz nachylił się i długo obdzierał stare nalepki z kufra. Wtedy z dołu usłyszeliśmy jego głos młodzieńczy i jasny, gdy powiedział:

— Morbihan... to piękny kraj.—

Poczem wyprostował się i spojrział na nas, nad czarną brodą rozpostarł się szeroko przyjacielski, łagodny uśmiech.

— Czy państwo tam już byli kiedy?

— Nie, nie byliśmy. Jedziemy właściwie nie do Vannes, ale dalej, do Port-Navalo, nad morze.

— Ach, w takim razie trzeba się przesiąść na wąskotorową kolejkę. To bliźniutko, ot tak jak stąd przez ulicę. Wprost i zaraz na lewo. Rzeczy zabierze Piotr z Auray albo stary Jan..

Teraz nasz przewodnik musiał posunąć kufer na wagę, bo przyszła nasza kolej. Po załatwieniu formalności, poszliśmy z walizkami w głąb dworca.

— Dziś będzie w Vannes pełno ludzi — wracających z odpustu św. Anny—powiedział do mnie tragarz, idąc przez salę.

Oczy, jeszcze pełne natężonego do ostatnich granic, miejskiego ruchu, dusza umęczona wiecznym niepokojem pośpiechu, ujrzała nagle przez krótki mig — wielki błękit pejzażu i opalone kobiety w czarnych fałdach sukien...

Ogłuszeni przeszliśmy przez tłum kolejowy i oto, po chwili, tragarz ustawił nasze walizki na siatce wagonu.

Zegnając się powiedział—Proszę nie zapominać — wprost i na lewo, potem po schodach do furtki. Szczęśliwej drogi!

Sklonił się i poszedł ku ulicy znów zgarbiony i ponury, stary i obojętny.

Ach, dobry człowieku, nie ty jeden znasz słodkie imiona młodości...

* * *

Port Navalo jest to maleńki port, wysunięty w ocean, między zatoką i pełnym morzem. Mała latarnia morską, mały targ na ryby, malutka digue'a, do której przybijają statki i łodzie rybackie, niebieskie i zielone, czerwone i białe, uczepione u fali niedbale jak motylki siedzące na kwiecie, który wiatr porusza. Dookoła właściwego portu — skały, uwieńczone zielonością ogródków will, wreszcie dwie drobne, białe plaże, jak młode półksiężycy, upuszczone między głazy.

Na górze między nimi przechodzień napotyka dużą mogiłę, którą otacza czworobok muru. Wewnątrz — niskie, tęgie, gęste, bardzo zielone drzewka — coś w rodzaju lauru — nachylone ku sobie chronią płaski grób, na którym leży żelazny krzyż, a w głowie stoi figura Madonny. Przy murze — puszka na ofiary. W stopach króciutki napis: le petit mousse*).

Opowiadanie głosi, że w roku 1863 (!) rozbił się okręt, zginęło dużo ludzi, a morze wyniosło na brzeg zwłoki małego chłopca okrętowego. Dlaczego ksiądz nie pozwolił go pochować na poświęconej ziemi? jakie przesady, jakie twarde prawa odmówiły gości i spokoju małemu chłopcu na wiejskim cmentarzu w Qrzon? Nie wiadomo. Dość, że tak było i że złożono go do ziemi nieco powyżej miejsca znalezienia. Prości ludzie tego kraju, idąc jedynie po linii przykazania o zmarłych, zrobili mur i zasadzili drzewka, lata osnuły mogiłę legendą — i tak powstał jeden z najpiękniejszych grobowców, wieńczący nadmorską skałę, zielony, poważny, uśmiechnięty, czyniący cuda. Małe dzieci, figurki bosc, półnagie i opalone, których pełno nad morzem, z łopatką w jednym ręku, a kubelkiem w drugim, kłękają drobnym stadkiem u grobu małego chłopca, a wtedy mimowoli nasuwa się myśl, że mousse uśmiecha się, jak mały kolega zabaw, przy grze w chowanego.

Bezwątpienia lepiej wyszedł on na swej samotnej mogiłę, niż dziadowie dzisiejszych mieszkańców, najzaczniej swojego czasu ułożeni na cmentarzu. Gdy zbrakło miejsca na nowe groby, kości dziadków trzeba było wyjąć z mogił i złożyć w skrzynki. Powinno było to utworzyć dostojne columbarim. Ale cóż się stało? Najłatwiej było o skrzynki od towarów kolonialnych, do nich więc poskładano szczątki dawnych obywateli, dla prędkości nie maskując poprzednich napisów. Za ogrodzeniem i kratką w ciemnym wnętrzu „columbarim“ stoją nagromadzone jedne na drugich duże, drewniane i blaszane pudełka, głoszące: „Chocolat Menier“ „Petit Beurre Lu“, „Viandox“, W środku przyklejona biała karta z napisem: „Ci git Pierre Le Tallec“ lub w poprzek umieszczony napis: „Marie Blanchet“ i „de profundis“. Poniżej ogrodzenia pnie się różowa, drobna różyczka i pachnie słodko wspomnienie dawno zjedzonej czekolady i dawno zmarłego Piotra...

Różne są sposoby czczenia zmarłych!

Na prawo od portu kręgiem rozłożyło się stare miasteczko, — prawy brzeg jego zakończony skalistym cypsem, na którym zawsze targają się wichry. Za cypsem rozpoczyna się wiel-

ka morska zatoka, pełna wysp dużych i małych, pustych, kamienistych, i zamieszkałych, skąd świecą jasne ściany domów. Na jednym widnieją dolmeny, podobne zdaleka do zmartwych postaci, idących tłumnie ku morzu; niektóre stanowią nagą skałę, naznaczoną jedynie latarnią morską, inne dźwigają miasta, wille, zielenieją ogrodami; jest i Wyspa Mnichów, gdzie ongi był klasztor, a obecnie uśmiechnięte miasteczko, plaża, i wieńczący brzeg na kształt djademu, Bois d'Amour. Nad całym tym wodnym krajem niebo niskie mięgie i mgławce, w dole woda równa, i daleka i statek, cicho płynący, wędruje między wyspami jak przez łagodny czyszciec. Gdy przybija do której, z brzegu schodzą oczekujące dusze — starsi, młodszy, dzieci, w ręku często błękitno różowy kwiat hortensji, jak zbladłe wspomnienie dawnego szczęścia.

Hortensja — ten ozdobny, niepachnący kwiat — u nas nieco egzotyczny, w tym kraju odegrywa rolę naszych nagietek i nasturcji. Kamienne, szare domy Port Navalo, Arzon, Sarzeau, posadzone są przy samym murze wielkimi, bujnymi krzewami, na których często nie widać liścia z poza piany kwiatu. Na nagiej, ubitej ziemi, rozpostartej w rozległy kwadrat, przed domem, tuż u podnóża różowego kwiatu, spi zwinięty w kłębek czarny lub bury kot, a opodal kilka kobiet w czarnych sukniach i białych czepcach, ustawione w regularny krąg, młóca zboże, uderzając cepami kolejno w nieskazitelnie równym rytmie — poważne i milczące w lekkim obłoku zbożowego pyłu. Ciemno-zielona figa u kamiennego ogrodzenia zamyka ten stary obraz do którego czas długi jeszcze nie będzie miał dostępu.

W słoneczny dzień piętnastego sierpnia, u nas zwany świętem Matki Boskiej Zielnej, zaproszeni na śniadanie do Bretonów, mieszkających we wsi Thumiac, idziemy wyciągniętym krokiem ulicami miasteczka, walcząc z ogromnym, nadbrzeżnym wichrem. Toteż, zaraz za miastem zbaczamy z głównego gościńca na wąskie, polne drogi, ocienione wysokimi drzewami lub kamiennym, niskim murem i zawsze dzikim gąszczem przydrożnych krzewów. Ożyna, mająca tam słodki smak morwy, oplata wszystkie rowy i przełoty, pnie się po kamieniach i spływa festonami na białą ziemię dróg, czarną i czerwoną kitą kreśli powietrze, lepką lodygą zaczepia o suknie. Balladyna Bretanji nie potrzebowałaby wiele trudu, żeby uzbierać dzban jagód. Są one jednak w pogardzie u mieszkańców tego kraju i niepożądane przez nikogo, same spadają lub schną na gałązkach.

U wejścia do parafjalnego miasteczka Arzon, wracając znów na wielką drogę, trafiamy szczęśliwie na sam

*) Mousse — chłopiec okrętowy.

początek uroczystej procesji, która tu ma miejsce tylko dwa razy do roku. Rozpoczęta wielkim krzyżem i dwoma szeregami małych dziewczynek w poważnych, długich sukniach ślubnych lub fałdzistych czarnych, cała powiewająca chorągiewkami, ustrojona ołtarzami i małymi okrętami w kolorowych wstążkach, — dziwne robi wrażenie ta uroczystość, odbywająca się w zupełnym milczeniu: w polu, dokąd bicie dzwonów dojsć nie zdoła a śpiew milczy, przy szumie jedynie nadmorskiego wiatru, procesja, mimo białego dnia i otaczających drogę widzów, jest tak tajemnicza w swym milczeniu, jakby niosła w swem wnętrzu dawny obrządek, schodzący w kamienne podziemia. Istotnie religijność tego kraju przeżywa okres zobojętnienia i to raczej forma tylko szeleści na wietrze jedwabiem i złotem, zdobnym kamieniami, drobnymi chorągiewkami dzieci i wspaniałymi sukniami kobiet.

Suknie te, fałdziste i sięgające kostek, zawsze z czarnej wełny, bogato ubrane aksamitem, nadają tym kobietom wspaniały i dostojny wygląd wielkich dam. Na ramionach chustka z jedwabnej frendzli, lub koronki wspaniała haftowany fartuch, z ciężkiego jedwabiu, na głowie subtelne, skrzydlate, białe czepki, pokrewne w swej lekkości dalekim żaglom rybackich łodzi.

Zwolna przeszli przed nami księża, uśmiechnięte dzieci, ołtarze, dzwiganie przez młode dziewczyny w białych welonach, okręty na ramionach starych Bretonów, — zwolna przesunął się czarny, krótki ogon pochodu i za chwilę, na tle nieba widzieliśmy tuż tylko chorągwiane kolory.

Oto więc jest jeden z tych widowisk, który zaklęty we wspomnieniu, a promienny tęsknotą, jak tęcza, nosi w swej duszy tragarz z Quai—d'Orsay. Więc za nękającym w dali tłumem posłaliśmy, jak cień smutny, długie pozdrowienie człowieka którego życie, twardą ręką zawiodło z kamiennego

domu swego przestrzennego kraju na kamienny bruk drapieżnego miasta.

Minawszy następne miasteczko, odpoczywaliśmy na skrzyżowaniu dróg, gdzie, jak wszędzie na rozstaju, stoi stara figura. Niezapomniany Chrystus tego miejsca, obrócony twarzą do cienia, rzeźbiony przed wiekami z jednego kamienia nieznaną ręką silnego, prostego człowieka, nie oddzielił się jeszcze od swego krzyża. Głowa ukrzyżowanego wyraźnie widnieje na powietrzu, tors, skoszony lekko własnym życiem, ale dłonie płasko się łączą z ramionami krzyża i nogi giną stopniowo w kamiennym słupie. Każę myśleć, że tu po raz drugi spełnia on swój nadludzki wysiłek, dźwigając bryłę rozpiętego ciała z masy krzyża, a to, żeby oddzielić swą mękę od narzędzia swej męki...

I odpoczywając krótko na skraju słonecznej drogi, staramy się uchwycić wypływającą stąd prawdę.

Teraz—parę kilometrów wijącej się drogi i dochodzimy do celu podróży — wioski Thumiac, położonej między starym kurhanem, a ogromnym brzegiem oceanu.

.....

Gospodarze nasi przyjeżdżają tutaj tylko na lato i jesień — zimę zaś spędzają w Paryżu, gdzie on jest malarzem dekoratorem. Oboje są Bretonami, a ona dziedziczką tego szarego domku, do którego zbliżamy się właśnie przez małe, uklepane podwórko. Równą stopą wchodzimy do niskiego, kwadratowego pokoju, pełnego cienia. Przy ścianach sieci, kłatki na homary, kominek, kuchnia; ukośna drabina prowadzi do otworu w suficie, z którego pada wątle światło, na środku pokoju podłużny stół jadalny świeci, błyszczący, panuje parą olbrzymich, czerwonych homarów, miską koralowych krewetek, wielkim naczyniem zielonej sałaty. Drobne główki kwiatów, ułożone w mister-

ny wianuszek, zdobią obrus kolorowym fryzem.

Na śniadaniu, oprócz nas, jest mer gminy, a przez otwarte drzwi często wsuwa się przygodny gość: krewniaczka gospodyni z wielkim parasolem, sąsiad—stary marynarz, który swą krowę zostawił za progiem, posłaniec, który przyniósł list do mera. Każdy przysiadła obok biesiadujących i pije wino dużą szklanką: twarz jego wtedy ginie w cieniu, a kontur odcina się wyraźnie od tła dalekiego za oknem — pasa morza i pasa nieba.

Po długim posiedzeniu przy stole, po baraninie i słodkim, bretońskim farze, po sidrze i winie wszyscy mają nieco w czubie.

Wąską ścieżeczką między dwiema kamiennymi granicami pół idziemy gęsiego na przechadzkę w stronę morza. Wychodzimy na słone rozłogi, porośnięte szczecinowatą trawą, pnemy się nieco po siwym ukosie, i stajemy na białym grzebieniu piachu, odrazu uderzając twarzą w srebrną ścianę wichru...

Ocean!

Gdy idzie tak ku nam bezbrzeżny w łoskocie i pianie, każdym dziwieciowym krokiem zabierając jasne wały muszli i piasku, w wilgotnym pyłe jego olbrzymiego oddechu ginie z pamięci wszelka rzeczywistość. I oto cicho otwiera się w duszy małe, zapomniane okienko: przez nie uśmiechają się do nas uchylone okna dalekiego, wiejskiego domu, drzewa idą łagodnie ku wkrąg rozlanęj wodzie, różowej wieczorną zorzą, a na brzeg zżętego pola schodzi jedwabny mrok, wlokąc za sobą gwiazdzistą suknię nocy...

Tak drobne ludzkie stworzenie, zamknięte w ramie swojskiego pejzażu, marzy niespokojnie nieznaną morza i lądy obcych ludzi, by duży, dorosły człowiek dalekie kręgi swych dróg starą znaczył tęsknotą.

Port — Navalo sierpień 1924 r.

Tekla Knoll—Wittigowa

Z A K Ł A D

Proszono mię, abym coś napisała o Sienkiewiczu, wspomnienie, wrażenie, aforyzm, bo ja wiem? Nie miałam niestety nic do powiedzenia. Nie przerastały moje wspomnienia o Sienkiewiczu niczem tysiąca wspomnień o nim, rozsianych po całej Polsce.

Ze ciotka moja pokazywała mi z rozczuleniem rękawiczkę, w którą ją w kasynie lwowskim pocałował „sam pan Sienkiewicz”, cóż to w końcu szerszą publiczność obchodzić mogło? Ale oto nagle, w lamusie pamiętek, odnajduję jedno opowiadanie, fakt autentyczny, użyty ponoś nawet, kiedyś, gdzieś, w jakiejś noweli, któ-

rej dostać nie mogłam, czy też która może wogóle nie wyszła.

Były w bliskim sąsiedztwie dwa dwory, jak zwykle dwory dawne, staroświeckie, nie odróżniające się od tysiąca innych, z gołębnikiem, ze starą klucznicą, z jeszcze starszym furmanem. W jednym uchował się panicz, zdrów jak żrebiec, urodziwy — nazwijmy go: „pan Bogusław” — w drugim płowowłosa panienska, jedy-naczka — nazwijmy ją: „panna Zosia”.

Starsi dawno postanowili parkę młodą połączyć, ale panienska grymasiła, noskiem lekko zadartym na pla-

ny kręciła i zbywała konkurenta zar-tobliwą opryskliwością.

Zaczął w owym czasie wychodzić we feljetonach Potop pana Sienkiewicza, czytany wprost do utraty tchu po dworach, z zachwytem, z niecierpliwością. Kiedy chłopak stajenny przywoził pocztę („gdzie siedziałeś, walkoniu tak długo?!”) zawsze najpierw skwapliwie oglądano gazetę, czy aby jest „ciąg dalszy”. A jeżeli był, rozsiadywano się wieczorem w okół lampy, na staroświeckich, koniecznie ciemnomalinowych fotelach i ktoś głośno czytał. Ku rozpaczcy zebranych, urywało się za-

wsze na najciekawszym miejscu, lecz na to nie było rady.

Czasem dwór „A” przyjeżdżał do dworu „B” i wtedy razem czytano. Lektura ta działała na młodzież silnie: chłopcom marzyły się zbroje, dziewczętom chusarzy i pan Sienkiewicz ani przypuszczał, jak nieraz destruktywnie działały jego pisma. Oto panicz zaczął gorzej „wkuwać grekę” — oto paniące urodzonej na wsi, brzydła nagle wieś, a sąsiad (poczcwy, czerwony, opalony bęcwał) przyjeżdżający konno i wyglądzany dotąd niecierpliwie, obojętniał raptem: gdzie takiemu do Kmicica!!!

Nie jeden zadzierżgnięty supelek sercowy spruł się, nie jedne rozsywały się plany, albo przynajmniej popsowały, lub odłożyły na później, na znacznie później.

A czasem — przeciwnie! Właśnie pan Sienkiewicz sprowadzał zabłąkane w labiryntach serca parki do jednego mianownika, jeżeli mianownikiem nazwiemy: umajony ołtarz w kościółku wiejskim i zacnego proboszcza ze stulą.

I tak się tu stało, z wyż wymienionym, panem Bogusławem i panną Zosienką.

Dąsy i kwasy zaczęły się przed Potopem. Pannica twierdziła, że pan Bogusław o nią mało dba, a może i nic, że daleko ważniejszą jest kwestja dla niego, czyli nowy, licowy deresz poprowadzi składnie czwórkę, a dzików czy dużo i choć ze dwa wilki napędzi tego roku naganka i tem podobne. W gruncie rzeczy panna Zosia nie odmawiała ważności i owym sprawom, owszem, ale... no mniejsza z tem, dość, że miała serce panieńskie pełne uraz i żalów. Pan Bogusław zaklinał się, zdziwiony do ostatnich granic, że ją kocha nade wszystko, że gdzie tam licowemu dereszowi do niej, do panny Zosi, a wątpliwości tejże panny Zosi kładł na karb grymasów.

Były też to i grymasy, zdaje się, bo pewnego dnia panna Zosia, ustroiwszy się w minę godną, oświadczyła po krótkiej, a ognistej sprzeczce:

— Zróbmy zakład, panie Bogusławie. Jeżeli Kmicic dostanie Oleńkę, to ja wyjdę za pana, jeżeli nie, to nie.

Pan Bogusław zgłupiał. Chwilę próbował tłumaczyć pani: niekompetencyę pana Sienkiewicza w ich perypetjach sercowych, ale pannica uparła się:

— Nie. Jeżeli Kmicic nie ożeni się z Oleńką, to nie. Zdajemy się na los...

Zgodził się wreszcie nieszczęsny pan Bogusław, urażony zresztą i rozgoryczony mocno, że o takie rzeczy opiera panna Zosia ich przyszłość wspólną. Trochę, troszeczkę, ostudziło to nawet jego zapaly i zniechęciło do panny Zosi.

A tu Potop rozciągał się — prawdziwy potop! Nie było widać końca. Ciągłe nowe zawikłania, ciągłe nowe przeszkody, kłębki i kolizje. Już... już... Kmicic dobijał do brzegu i — masz djabla kubrak! nowy piorun z jasnego nieba. Na to nikt nie liczył. Zrazu p. Bogusław powiedział sobie za panem Sienkiewiczem: „jechał ją sęk, kiedy tak!”, bez zbytniego ferworu brał gazetę codzienną do ręki — dni jednak mijały, dłużyły się w nieskończoność. Pan Bogusław przybladł, zmizerniał, zcichł. Nie ujeżdżał już czwórek, z hartami nie ganiał, a poczty wyglądał coraz niespokojniej. Panna Zosia nie zauważyła nawet z początku zmiany w adoratorze, potem tknęło ją jednak coś, ale nic. Niech się gryzie. Czy on się aby potrafi gryźć?... Lecz powoli, powolutku, zaczęło gryźć panię z kolelei sumienie.

— Mój Boże!... przecie się martwi... a jeżeli pan Sienkiewicz... Wzruszyła ją ta myśl cośkolwiek i w miarę jak się perypetje Kmicica przedłużały, rosły, komplikowały i zaczął nawet ginąć cień nadziei, że on bogdanę swą zdobędzie — przymizerniała i panna Zosia. Oboje teraz, ona i p. Bogusław, spotykając się, patrzyli ukosem, w milczeniu, na siebie, tylko im się ręce trochę trzęsły, kiedy przychodziła gazeta, a w niej straszliwy, a upragniony „ciąg dalszy“.

Pan Sienkiewicz zaś igrał z nimi, jak kot z myszą i cały żal przeniósł się na niego, Bogu ducha winnego.

Nareszcie dnia pewnego, kiedy już nic nie zapowiadało dobrego końca w feljotonach, panna Zosia zbliżyła się w ponsach do księdza proboszcza.

— Księżę Proboszczu... jabym chciała prosić... jabym prosiła o mszę świętą... na intencję...

— Na jaką intencję, moje dziecko? zdziwił się nieco proboszcz jej zażenowaniem.

— Bo to ja nie wiem, kochany, drogi księżuniu, czy można na taką intencję? Zeby, proszę księdza proboszcza... żeby...

— Zeby co?

— ... żeby ten Kmicic się ożenił z Oleńką...

Poczcwy proboszcz oniemiał i potem długo tłumaczył pani Zosi, że nie można odprawiać mszy świętej na podobną intencję, że nie trzeba się tak literaturą przejmować.

Skończyło się. Niema ratunku.

Panna Zosia odeszła z sercem rozdartem i znowu dni mijały. — Kmicic ruszył znowu przeciw Rakoczemu, czy innemu djabłu, zamiast po ukochaną — nadzieja gasła coraz bardziej.

Nie mogła już wytrzymać panna Zosia. Głowa ją coraz częściej bolała i nie spała po nocach,

Och ten pan Sienkiewicz!!!

Razu pewnego więc zamknęła się w swoim pokoju, siadła przy biureczku, na którym tylko kilka razy do roku listy pisywała, to do cioci, to do babci lub wuja, z życzeniami Świąt i imienin — rozłożyła malutki, różowy arkusz i zamyśliła się gęboko.

Nagle, z determinacją, szybko, zaczęła pisać:

Czcigodny i łaskawy Paniel

Donoszę Panu, że czytamy wszyscy Pańską śliczną powieść pod tytułem „Potop”, która drukuje się w „Słowie”. Nie wiem tylko, jak Panu wyrazić moją prośbę gorącą, aby się Kmicic koniecznie z Oleńką ożenił. Tak mi na tem zależy, że nie można bardziej. Ksiądz proboszcz nie chciał na tą intencję Mszy świętej odprawić, bo mówi że się nie godzi. Niech Pan mi tego nie odmówił

Łączę dla pana wyrazy prawdziwego szacunku i ukłony i przepraszam, że się ośmieliłam bez wiedzy rodziców pisać i molestować Go o taką rzecz, ale mi Pan tego nie odmówi, przecie Panu wszystko jedno.

Zofja B.



Czy i o ile wpłynęła prośba panny Zosi na epilog sienkiewiczowskiej powieści — tego już nie wiem — może wie pan Hoesik — dobywam tylko ów epizod autentyczny, a drobny, z pamięci, na dowód jak „żyły” wśród nas swego czasu książki Sienkiewicza i — może — jak inne było tamto, jego pokolenie.

Jeżeli ktoś użył istotnie kiedyś owego tematu, niech mi wybaczy, a jeśli żyje jeszcze parka, przez Sienkiewicza połączona, niech opowiada często dzieciom swoim i innym, ów epizod z przeszłości własnej.

Z O F J A N A Ł K O W S K A

B L U T E K I K A N I A

I.

Uroda tego Blutka była czerns, w co po prostu trudno było uwierzyć. Gdziekolwiek ułożył swe przepyszne, lśniące futro, oczu od niego nie można było oderwać. Puszysty mosiądz jedwabny, pręgowany tą samą barwą, o dwa tony tylko mocniejszą. Ani jednej skazy na tym błamie futra, ani jednej plamki białej, czarnej czy burej. Była to radość oczów, uciecha i zaciekawienie ustawiczne.

Nie pamiętam człowieka, który by się po prostu nie zdziwił na jego widok. Proste baby, chłopci, sąsiedzi, goście z miasta — każdy mówił, że nigdy takiego kota nie widział.

Od wszystkich przedmiotów w domu, od sukien, dywanów, obić, piękność Blutka nabierała wciąż nowej wartości. Czy zwinął się na starym fotelu w ciepłym tle ciemnomorelowego aksamitu, czy spoczął rano na łososiowym jedwabiu kołdry, czy legł brzuchem na blade złotym, morowanym blacie brzeziniowej sekretery — wszędzie stanowił plamę prześliczną, dziwaczny stop złota, miedzi i mosiądzu.

Cieszyłam się niezmiernie jego urodą, lubiłam, jak był przy mnie. Czytając albo pisząc, odwracałam głowę, by jeszcze raz zobaczyć to dziwne stworzenie, w którym jedwabna miękkość sierści była poprostu zakuta w twardej metal barwy. Gdy siedział w oknie na słońcu, jak każdy zwykły kot, jak niezapomniany ponury Hamilkar, i bosko podobnym seledynem rozwartych oczu, patrzył nigdzie, jego ciemniejsze, intensywniej mosiężne pręgi na grzbiecie i bokach miały pod słońce połyski zupełnie fjolkowe.

Z majestatu swej piękności, z jej splendoru i blasku zstępował ku mnie z życzliwością i prostotą. Przeciagnawszy nogi przednie, nogi tylnie i wreszcie ogon, szedł bardzo powoli i niechybnie brzegiem biurka, nie potrącając ani jednego przedmiotu, bez żadnej zachęty siadał na rozłożonym papierze tuż u mej twarzy i mrużeniem dawał mi znać, że właśnie tak jest dobrze. Nie było w mojej mocy zepchnąć go lub odpędzić, gdy starannie rozmieszczał swe ciało na mych kolanach, o ile chciał zażyć snu lub odpoczynku tu właśnie, a nie gdzieindziej.

Jego stosunek do Kani był oczywiście stosunkiem psa i kota. A przecież, gdy patrzyłam na ich nieznaczne zatargi i przemilczane niechęci, nie ciągnęło mnie, by zgłębiać ich prawieczną, tajemną psychologję — jak wówczas, gdy wnikałam we wszystkie udręki Półmordka przebywającego z Hamilkarem. Nie — stosunek Blutka i Kani był zagadnieniem czysto kolorystycznym, był jedynie sprawą cudownego doboru barw.

Przemocą przyłożony do Kani, leżącej na dywanie, Blutek — wewnętrznie raczej obojętny, zaledwie przejęty lekkim niesmakiem — optycznie zdawał się rozplomieniać, gorzeć. palać nadmiarem złota i blasku. Kania zaś — znosząca bliskość kota w sposób sobie właściwy, pogodnie i bez przejmowania się czemkolwiek — z bladej złotej i migdałowej stawała się bułana i płowa, bladła i matowiała, jako słaby repoussoir dla jego przepychu. Oba zwierzęta zdawały się stworzone dla siebie, dopełniające się niejako, należące do świata jednej barwy o różnym napięciu.

II.

Blutka dostałam od panny Wacii, choć różni inni sąsiedzi przymawiali się bardzo o niego. Był jeszcze mały, zły i zupełnie niemądry. Parskał i syczał na ludzi, tak, jak na psy — i to wtedy nawet, gdy siedział na kolanach albo pod kołdrą. Czasami nawet można się go było przeląć, takie to było złe i dzikie.

Później znacznie złagodniał, naberając z wiekiem taktu i miary, ale na pewności siebie i złośliwym humorze nie zbywało mu nigdy. Gdy był poważny — zdawał się nie brać żadnej odpowiedzialności za figle, płatane tylko co, — i byłoby poprostu niewłaściwością robić mu wówczas jakieś wyrzuty, przypominać rzeczy, ponad które był tak bardzo wyższy.

Przecież wystarczyłby brzeg serwety czy firanki, aby zrobić zeń w mgnieniu oka trzpiota i urwisa. Jakiś sznur, zwisający skądkolwiek, był dostatecznym pretekstem do najszańszych, najbardziej uwłaczających godności takiego kota skoków. Zwłaszcza zaś — każdy nowy wąs mojego szparaga.

Ach, to była kość niezgody między nami, ten szparag. Bezpretensjonalna, a tak pełna wdzięku roślina, miała w ówczesnym moim pokoju swój własny stolik i radowała się do zimowego słońca swą jasną zielenią. Doniczka stała w ładnym koszyku, ukryta w świeżym, z pod śniegu zbieranym mchu. Rozstrzępione, pierzaste liście rosły jakby wprost z tego mchu i zwiślały we wszystkie strony prawie do ziemi. Każdy nowy, nagi, nierozstrzępiony wąs był mi znajomy. Mnie i Blutkowi także.

Bo wąs szparaga był mu przyjemniejszy znacznie, niż wszelka firanka, serweta albo suszek. Wąs szparaga to był zarazem przysmak, rozrywka — i złośliwy figiel. Bo można go było złamać, ugryść — i widzieć później, jaką ja mam z tego zgryzotę.

Odkąd nastał do nas Blutek, nie mogłam dochować się ani jednego całego wąsa. Czuwałam nad nimi, zamykałam drzwi przed Blutkiem, raz nawet dałam mu klapsa takim

gołym, odgryzionym wąsem. Wyjeżdżając do Warszawy, mówiłam Juljanowi, żeby o tem jednym pamiętał, że drzwi do mego pokoju mają być przed Blutkiem zamknięte. Ale cóż mi przyszło z tego gadania? Wracając zastawałam zawsze połamany wąs, nad którym nieraz czuwałam od tygodnia.

Blutek się mnie nie lękał, to muszę wyznać. I wogóle był odważny. Z Kani i Rexa nic sobie nie robił — ale tylko w pokoju; na dworze, gdy się z którym z nich spotkał, uciekał zaraz w wielkich susach do najbliższego drzewa — najchętniej do klonu, który stał tuż przy domu. Z klonu zeskakiwał daleko na dach, a stamtąd na wielki balkon, gdzie mógł już zupełnie śmiało spotkać się z każdym psem.

Kiedyś — już dawno — siedzieliśmy sobie na tym balkonie, z którego między klonami taki piękny był widok, — przy podwieczorku, a Blutek, obojętny na jadło, leżał na ziemi w słońcu — płaski, „jak pusta skóra“, i patrzył nigdzie swemi seledynowemi oczami. Nagle w progu stanęła Kania — oczywiście samowolnie zerwana z uwięzi — trochę wesoło, a trochę z onieśmieleniem. Wówczas bowiem było niby przyjęte, że zwierząt nie ma być przy jedzeniu. Kania wiedziała doskonale, że źle robi, ale miała taką ochotę przyjść — i liczyła trochę na swój wdzięk osobisty, który jej wszystkich jedna i naprawdę wiele rzeczy ułatwiał. Stanęła — niby, że już dalej nie wejdzie — ale czekała tylko na chwilę naszej słabości, na najłżejszy, bezradny gest przyzwolenia.

Tymczasem Blutek, który miał z nią jakieś niedawne porachunki, powstał zwolna i niespiesznie krokiem przybliżył się do drzwi, spokojnie, patrząc na Kanię. Potem wspiął się i stojąc na tylnych łapach, jedną przednią oparł z boku o ramę drzwi. Patrzyliśmy wszyscy, co to będzie — bo niezwykle wyglądało to widowisko: uprzejma Kania, w progu stojąca i o futrynę lewą łapką oparty Blutek, na słońcu wygrzewany i wesoły — w posturze pазia, mającego komuś uchylić zasłony.

Nagle wychylił się nieco bardziej — i wciąż łapką uczepony ramy — drugą wolną łapką pacnął Kanię po wysmukłej mordzie. Bez gniewu, bez żadnych wyjaśnień — poprostu dla tego tylko, że tutaj można, więc czemu sobie nie pozwolić. Pacnął raz, drugi i trzeci — i zestąpiwszy na wszystkie cztery łapy, spokojnie oddalił się na poprzednie miejsce.

A Kania, wcale nie urażona, weszła, nie czekając dłużej, i zbliżyła się do stołu, by dostać coś do zjedzenia.

Takie były to zwierzęta, których już dawno niema. Jednak żyją zawsze w mej pamięci i — mogą to powiedzieć — w moim sercu.

PAUL BOURGET

NOWELA

Z CYKLU: „TRAGEDJE TAJEMNE“

WYPADEK SAMOCHODOWY

III.

Pomimo mej obietnicy, nie opuściłem natychmiast Cortina d' Ampezzo. Nie mogłem zostawić Delorme'a. Niedługo czekać musiałem. Mniej niż we dwie godziny po naszej rozmowie, umarł jak to zapowiedział, nie odzyskawszy przytomności. Pozostałem zrozpaczonemu szoferowi swoje instrukcje. Zapowiedziałem powrót swój na wieczór lub na jutro rano najdalej. Lando moje przybyło. Pozostałem je w Cortina. Kazałem złożyć swą walizę na samochód wynajęty, który mnie przywiozł — i koło południa byłem w Toblach.

Mało miejsc na świecie dostarcza podróżnemu tyle wdzięcznych a zarazem dzikich widoków, jak ta śliczna dolina, rozłożona wśród szczytów alpejskich.

Na wiosnę zwłaszcza, gdy flora górską umi gęste już trawy żywymi swymi barwami, i jakąż rozkoszą jest przechadzka! Potoki pędzą dzwieczne, jasne i wartkie. Słońce iskrzy się na śniegach szczytów. Połyskiem aksamitnym powleka ciemne ubarwienie świerków. Oddycha się aromatem mieszanym — kwiatów, lasów, lodowców pobliskich — Zaledwom przybył do tej doliny, odczułem te wszystkie wrażenia i wnet przez kontrast, okrucieństwo misji, jaką mi powierzono.

Gdym tylko zobaczył państwa Charlix, zrozumiałem całą prawdę. Poznałem ich od pierwszego rzutu oka w restauracji hotelowej: on człowiek czterdziestoletni, wysoki, tęg, ciężki, typ wiejskiego szlachcica, lubiącego pić, polować, głośny w śmiechu i mowie, despotyczny i nieinteligentny, jednym słowem klasyczny typ męża nieznośnego dla żony; — ona, delikatna, niemal wątła, pełna tego subtelnego wdzięku, gdy wszystko zdradza niezmierną wrażliwość nerwową: drobne nogi, ręce, ruch głowy, drżenie powiek i ust. Oni jedynie mówili po francusku. Ten prosty szczególnie nie pozwalał mi wątpić o ich identyczności. Służący, którego spytałem cicho, potwierdził moje intuicyjne przeczucia i wnet wpadłem w stan tak bolesnej niepewności, że dziś jeszcze cierpię, gdy go wspomnę. Zbliżając się do Toblach, zadawałem sobie wprawdzie pytanie: — W jaki sposób mam zawiadomić panią Charlix? Gdybyż mogła być już powiadomioną w jakikolwiek sposób?... Wyrzucałem sobie to pragnienie, jak uchybienie słowu danemu i nawet, przed wjazdem do Toblach, przejęty skrupułem, nakazałem szoferowi, za pomocą sutego napiwka, absolutne milczenie o wypadku wczorajszym.

Obmyślałem potem dwadzieścia sposobów, nie mogąc zdecydować się na żaden.

Teraz, gdy spoglądałem na młodą kobietę, siedzącą naprzeciwko męża, jawiła mi się absolutna pewność: umierający chciał oszczędzić jej — a nie temu pospolitemu i ordynarnemu Charlix — straszliwego wrażenia wyczytania w pismach — wiadomości o tragicznym wypadku. Dlaczego? Wątpliwością być nie mogło. Dlatego, że się kochali! Do niej to dążył z takim pośpiechem.

Rozumiałem teraz jego niezadowolone, gdym mu wymienił nazwę hotelu, w którym miałem zamieszkać w Toblach: bał się, abym później w Paryżu nie rozpowiadał o nich. Dlatego też zapewne udał się wprost do Toblach, zamiast przemocować w Pieve, aby namówić ukochaną kobietę i jej męża do natychmiastowej zmiany miejsca pobytu. Piękne jezioro Misurino i Landor są tak blisko... Rozumiałem także błaganie w jego oczach w czasie naszej tragicznej rozmowy: nie tylko chodziło mu o zawiadomienie kobiety, którą kochał. Zaklinał mię o zachowanie absolutnej dyskrecji. Honorowi memu powierzał tajemnicę, której całkowicie wyjawić nie mógł. Powierzał mi coś więcej także. Przekonałem się o tem po śniadaniu, gdym zobaczył hrabiostwo Charlix w ogrodzie i przybiegające do nich dwie dziewczynki z górną. Starsza mogła mieć ośm lat. Miała ciemne włosy cjoa i podobnie jak on, była wysoka, tęga, żywotna, i kipiąca nadmiarem sił. Druga, licząca nie więcej niż lat cztery, była istotą całkiem odrębną. Po matce wzięła organizm wątły. — Ale po kim te jasne włosy i te oczy błękitne — włosy i oczy człowieka, którego widziałem przed kilku godzinami, konającego na hotelowym łóżku? — Charlix miał oczy czarne również jak włosy i brodę. Włosy hrabiny miały odcień jasno kasztanowaty, a źrenice tę śliczną i rzadką barwę orzechową, zwaną przez Anglików „hazel eyes“. Zaledwo skonstatowałem, nowy dramat zarysował się w mej świadomości: mąż napoły ślepy, napoły podejrzewający, śledzący zachowanie się żony wobec przyjaciela i nie pozwalający sobie na wyraźne zarzuty; zazdrosny i broniący się przed tem, zapytujący siebie czasem, czy drugie dziecko jest istotnie jego krwi i odpowiadający sobie: tak!

Jednym słowem, jedna z tych sytuacji moralnych, w której atmosferze tyle stadeł wielkoświatowych żyje całymi latami, a gdzie tkwi tragedia, każdej chwili wybuchnąć gotowa.

Niech na wieść o śmierci kochanka, krzyk rozpaczliwej zdradzi hrabinę, niech zwalczony podejrzenie męża zamieni się w pewność!... Tak, to wszystko Delorme przewidział, temu starał się zapobiec za wszelką cenę, wysiłkiem poświęcenia ostatecznego. W chłopcu tym, którego posądzałem z racji jego środowiska — o miłości podrzędnego gatunku, objawiły mi się nagle skarby rycerskiej czułości. Później dopiero, z umysłem swobodniejszym, rozważania moje odtworzyły cały, namiętny bieg tej miłości.

Na razie miałem myśl jedną: jeśli się nie myliłem było koniecznym — bezwzględnie koniecznym — abym spełnił swą misję jak najspieszniej. Pomimo obietnicy swojej i napiwku, szofer mógł rozgadać...

Spełnić misję? Lecz w jaki sposób?...

IV.

Odpowiedź na to pytanie łatwą nie była. W jaki sposób zdobyć chwilę rozmowy sam-na sam z panią d'e Charlix? Po raz pierwszy nazwisko jej; wymówione przez Prospera Delorme, obilo mi się o uszy. Nie mieliśmy zatem żadnego wspólnego znajomego, na którego mógłbym się powołać. A przytem, w jaki sposób odosobnić ją od męża, dzieci i nauczycielki, skoro po śniadaniu siedzieli wszyscy razem na terasie? On palił, czytając dziennik francuski, ona przeglądała jakąś ilustrację. Co chwila oczy jej odrywały się od stronic, aby błędzić po czarownej dolinie, widnej stąd w całej rozciągłości. Twarz jej wyrażała płomienną i ukrytą radość. Głębokie i tajne wzruszenie kobiety rozkochanej, oczekującej na drogą obecność, zdradzała się powstrzymanym drżeniem pół-uśmiechu, rozświetlającego jej rysy delikatne. Wyobrażała sobie, jak we dwoje z ukochanym człowiekiem podziwiać będą ten świeży horyzont, tę zieloność rozkwitłą, szemrzące wody, lasy ciemne, wyniosłe szczyty. Za kilka godzin on już tu będzie. Chwilami przyciągała ku sobie córeczkę, u której tak jasno odczytałem podobieństwo do zmarłego. Gładziła jasne loki. Całowała dziecinne czoło, nie wiedząc o tem, jak srogo już ukarane jest jej grzeszne szczęście...

Druga dziewczynka, widocznie zazdrosna, zbliżała się także i była z kolei obdarzana pieśczością.

Historja tej kobiety coraz jaśniej rysowała mi się w myślach. Pozostawała przedewszystkiem matką, nawet w błędzie swoim, tak jak tyle

innych — i przez kompromis sumienia, będący jednym z wielu wyników — szczęścia niedozwolonego, wolała kłamstwo i podział, niż wolność, któraby na zawsze jej odebrała córkę mężowską. Jakże namiętnie musiała kochać człowieka, o którego

śmierci miała się z ust moich dowiedzieć, aby z dumą, widną w jej twarzy, zgodzić się na te wszystkie poniżające komplikacje!... I na to w dodatku, aby skończyć trudną do przewidzenia katastrofą, jeśli nie znajdzie sposobu ocalenia jej przed zdradnym

krzykiem rozpacz, niemal nieuniknionym...

Lecz w jaki sposób ją ocalić? — w jaki?...

(c. d. n.)

tłumaczyła M. D.

24)

D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

HELENA CEYSINGERÓWNA

Miejsce jego zajął człowiek niemłody, chudy, wysoki, o wielkiej łysej czaszce i twarzy tak zmęczonej, jakby poczerwieniałych jego powiek nigdy nie sklejał sen — postać napół prostacza, niezręczna, prawie śmieszna, na pół męczeńska i niemal groźna utajonym w sobie fanatyzmem.

Pan Kazimierz, niestrudzony działacz oświatowy, śmiał się w tej chwili cichym, bezdźwięcznym śmiechem. Opowiadał Wandzie, że gdzieś tam na Unji, na dziesięciowłokowym folwarczku siedzi szlachcic, staruszek, ekspowstaniec, niewidomy prawie i trochę zdzięcinniały. Żonę ma również starą i od czasów popowstańczych, lekko obłąkaną. Staruszkowie ci wychowują wnuczkę, której matką chrzestną jest hr. Róża, mieszkająca w sąsiedztwie, gorliwa opiekunka unitów. Otóż hrabina powierzyła p. Kazimierzowi misję wyszukania nauczycielki dla małej. Ale nauczycielka miałaby obowiązki podwójne: uczyć trochę i wychowywać małego dzikusia, a poza tem i to przede wszystkim, pomagać hrabinie w jej pracy na Unji, to jest, z początku pomagać, a potem zastąpić ją całkowicie, ponieważ na panią tę zwrócona jest mocno uwaga władz, tak, iż prawie ruszyć się z pałacu nie może bez tajnego nad sobą nadzoru...

Wanda zaczęła słuchać uważniej.

— Czy panby chciał, żebym ja wzięła tę posadę?

Pan Kazimierz podniósł wysoką swoją postać.

— Ach pan! Panno Wando! ja właśnie o to... ale nie śmiałem. — Tam straszna pustka i dzicz!... Od powstania nie pozwalały te dziwaki w ogrodzie i koło domu wyciąć ani jednego pędu, więc zrobił się gąszcz nie do przebycia, a mała Julka chowa się przed nauczycielkami i przed nauką w te haszcze... Żadna osoba z Warszawy, dłużej jak miesiąc, przebyć tam nie mogła!..

— No, mnie to wcale nie przeszkadza. Taki gąszcz? taka dzicz?..

— I „straszny“ tam podobno.

Wanda roześmiała się.

— Miła posada! — jednym słowem...

— I to nie wszystko! Obłąkana staruszka miewa różne przywidzenia.

Od czasu do czasu uroi sobie np. że komuś z domowych grozi niebezpieczeństwo. Zamyka go wtedy w swoich pokojach na klucz, nie pozwala mu wychodzić, sama przynosi mu pożywienie, obsługuje, czuwa nad nim dniem i nocą, nie kładzie się spać. Niedawno zamknęła tak swoją wnuczkę na cały miesiąc; w końcu dziewczyna skorzystała z jakiejś sposobności i uciekła przez okno... bo to ona, jak kot, łazi po dachach, więc choć tam dosyć wysoko...

— Ależ, nadzwyczajne to wszystko! Zaczynają mi się ci pańscy przyjaciele niesłychanie podobać!

— Widzi pani, to robocie samej nie przeszkadza. Przeciwnie! Na wszystko, co pani będzie robiła, oni patrzeć będą, niby nie widząc, pewni, że się starością swoją, kalectwem i dziwactwami ze wszystkiego wytłumaczyć potrafią.

Gdyby pani np. potrzebowała wyjechać potajemnie na parę dni, można potem powiedzieć, że pani była na miejscu, tylko uwięziona przez staruszkę w jej pokojach...

— Widzę, że pan wszystko obmyślił, aż do przyszłej mojej rozmowy z żandarmami.

— A, Broń Boże! ja tylko tak mówię...

— No, a ta robota?

— Pani nie potrzebuję objaśniać, na czym ona polega. Teraz, na koniec listopada przygotować trzeba pewną akcję. Przyjedzie tam Ojciec Serafin. Oni już od lat pięciu nie widzieli „swojego“ księdza. Trzeba przygotować wszystko, obmyślić, ściągnąć ludzi...

— Ależ to bardzo mało czasu! Trzeba jechać natychmiast.

— A tak. Trzeba — natychmiast.

— Niechże mi pan da parę dni zwłoki! Muszę przekazać koleżankom swoje lekcje i robotę tutejszą zdać na innych.

— Oczywiście, proszę pan! — Oczywiście śmiały mu się radośnie. — To się nazywa zrobić dobry interes! Jutro zaraz pchnę tam umyślnego z wiadomością. Tylko — ostrożnie! droga Pani! Tam szpieg na każdym kroku, strażniki się włóczą...

— Dobrze! Dobrze!

— Mieszkanie w Warszawie pani zatrzyma?

— Naturalnie.

— A czy jabym nie mógł z niego skorzystać. Składzik bibuły...

— Dobrze, ale pod warunkiem, że pan tylko sam skorzystać z niego będzie. Dam panu klucz...

— Doskonale! To mi się znów udało. Szczęśliwy mam dziś dzień... Słowo! że nikogo nie wpuszczę!

Pan Kazimierz wyszedł, a Wanda długo w noc porządkowała papiery, układała plany kampanji, zabijała w sobie wspomnienia, widna, pokusy... Od wszystkich kontemplacji wschodnich, więcej zdał się jej być wart jeden śmiały czyn!

ROZDZIAŁ XV.

NA UNJI

Jesienna, szara słońca mży drobniuchnymi kroplami na poźółkłe na gościńcu liście. Świat cały przedwieczorną już godziną owity w szare mgły, w senność, w ciszę, chłód... Ziemia podlaska kładzie się na sen.

W tę siwą mgłę, wypełniającą przestwór cały, wnika sunący gościńcem waszątek chłopski, w jednego zaprzężony konia. Półokrągła „duha“ nad nim, czarnym zarysem odcina się w morzu mgły. Waszątek ma dwa siedzenia. Na zaszczytniejszem rozsiadł się podstarzały jegomość o sumiastym wąsie, w maciejówce, nasuniętej na oczy. Drugie zajmuje woźnica, chłopak młody w siwej sukmanie podlaskiej i wytartej czapczynie. Sinemi z zimna rękami zgarnia lejce i popędza wlokącą się zwolna szkapinę. Na wózkę stoi kilka dużych, z grubej wikliny uplecionych koszy.

Jadą, deszcz mży, a liście ostatnie z półnagich już drzew spadają na drogę, wolno się przedtem ważąc, w przesyconem wilgocią, powietrzu. Zmrok zapada.

Wtem, z przeciwnej strony, wynurzył się powóz, zaprzężony w cztery gniade konie — nadjechał szybko — w powozie siedziały dwie mniszki prawosławne, w wysokich, czarnych, aksamitnych kołpakach.

Powiało grozą...

Chłopak odwrócił się, popatrzyli sobie ze starym jegomościem w oczy. — Z Leśnej — rzekł.

Jegomość skinął głową.

Jechali dalej, coraz głębiej w słotę, w mgłę, w podlaski smętny kraj, jechali drogą, sadzoną starymi topolami, co wyciągały nad nimi gałęziste konary i sypały im na czoła

zimne, deszczowe łzy, mówiąc: płaczemy z wami...

Przez morze mgły przepływało cicho stado szarych wron — nadleciały nade drogę ptaki i zakrakały żałośnie: biada, biada, biada!...

Na twarz chłopaka spadła złota blaszka topolowa, liść pożółkły i szepnął: ginę, ginę, ginę...

Nadjechali na rozstaje, a stał tam krzyż pochylony, krzywy, kaleka, o jednym już tylko ramieniu. Ramię to wyciągnięte było prosto na wschód.

— Prosto! — rzekł krzyż.

I pojechali wprost przed siebie.

Jadą w przedwieczną, zimną słotę, a drzewa strząsają im na czoła deszczowe łzy, mówiąc: płaczemy z wami... (c. d. n.)

27)

Z CYKLU: „PROFILE ROMANTYCZNE“

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824—1826)

Confalonieri, chory, znosił postępiej od zdrowych. Już w Medjolanie żywił się tylko kawą i owocami, tutaj poprostu oduczył się jeść i „mógł iść w zawody z najslawniejszymi głodomorami“.

„Mówi się, potrzeba jeść, aby żyć, ja jestem żywym przykładem, że to nieprawda“, powiada, twierdząc z właściwym sobie smutnym humorem, że wyleczył się z artretyzmu, wzięwszy:

„...Kurację modną.

Sławną teraz na świecie — kurację głodną“

Zato i on i jego towarzysze, jak stwierdzają raporty, idące do Wiednia, cierpią raz po raz na kurcze żołądka, dysenterję, atonję kiszek, niektórzy dostają skorbutu i wodnej puchliny, wielu ma gruźlicę. Głód zmienił ludzi młodych przeważnie i silnych, w „widma blade, wychudłe, ślaniające się na nogach“.

Jak wytłumaczyć sobie chłodne okrucieństwo, z którym znęcał się nad garstką bezbronnych ludzi, człowiek, który przecież barbarzyńcą nie był, tkliwy ojciec rodziny, popularny monarcha cywilizowanego ludu?

Był to zwyrodnienie umysłu u epigona władców, patrzących z lubością na auto-dafę? Fanatyzm inkwizytora, połączony z tępą pedanterją austriackiego biurokraty?

Może on, filar Świętego Przywierza, uważał za swój obowiązek nawrócić na drogę cnoty obłąkane „fałszywą wiedzą“ umysły? Zakazywał im przecież czytania i pisania dlatego, aby ich „ukarać w tem, przez nadmiar czego grzeszyli“?

„Leczę ich dusze“ rzekł do Pauly Andyane.

Ci ludzie jednak byli mu tak obcy rasą, psychiką, ideologją, że, zdaje się, miał wobec nich uczucie pogromcy, tresującego dzikie bestje głodem i bezsennością, a drżącego, czy nie wyłamią one prętów swojej klatki? Gdyż o pewnej obawie świadczyły nieustanne rewizje, któremi nekano biedaków, odbierając im nawet dobrodziejstwo snu.

Rano, wieczorem i o północy przychodził na rewizję intendent i żołnierze. Raz na miesiąc, ale

zawsze niespodzianie, wpadała nadzwyczajna inspekcja z dyrektorem policji berneńskiej na czele, raz do roku przyjeżdżał sam gubernator. Rozbierano więźniów do naga, pruto każdy szew ich ubrania, zrywano podłogę, burzono piece.

Czasem znachodzono rzeczy istotnie groźne: pióro, które sobie Pellico sporządził z patyczka miotły i obrzynka paznogcia, kartkę Komedji Boskiej, ukrytą przez Pallavicina w szczelinie ściany. Po takiej wizycie nawet łagodny Pellico dostawał gorączki z bezsilnego oburzenia na brutalną przemoc. „Spielberg — powiada on — był grobem, w którym nie zostawiono nam nawet spokojności grobu“.

Pogromca bał się, aby „bestje“ nie zerwały łańcuchów.

Skazanym na całe życie katorżnikom sybirskim, zdejmowano po ośmiu latach żelaza. Confalonieri, w ciągu lat trzynastu był raz tylko rozkuty na trzy tygodnie, wskutek naglącego raportu lekarza, niezbyt tkliwego zresztą, ale przerażonego okropnym wypadkiem z Marocellim. Cesarz pozwolił mu rozkuć tylko jedną nogę, bardziej obrzękłą od reumatyzmu, kazał natychmiast obręcz zanitować z powrotem, gdy spuchlizna skłębnie, i przypominał, czy rozkaz wykonano!

Der gute Kaiser Franz.

Do tego człowieka szła biedna pani Teresa z prośbą o litość. Lepiej było do kamienia mówić!

Prosi już tylko o łagodniejsze traktowanie chorego „bez czego dar życia byłby nieużytecznym, gdyż niemożliwe, aby on wyżył, poddany całej srogości więziennych rygorów“.

Wiezie ze sobą stare wino, kawę, książki w nadziei, że jej coś z tego przestać dozwolą.

Na suplikę, podaną we wrześniu, otrzymuje. wyczekawszy dwa miesiące w Wiedniu, chłodny bilet szefa policji, Sedlnicky'ego:

„Mam zaszczyt donieść pani hrabinie, że J. C. Mość raczył najlaskawiej przyjąć podziękowanie za darowanie jej mężowi kary śmierci, a zarazem oznajmić, że wydane zostały stosowne zarządzenia, aby ten-

że otrzymał w miejscu swego pobytu wszelkie duchowe pociechy, oraz z uwagi na stan jego zdrowia — ulgi fizyczne, dające się pogodzić z regulaminem. Zarazem zwraca się jej supliki.“

Jaką była pociecha duchowa — pokazało się później. Ulgi fizyczne ograniczyły się do uwzględnienia jednej drobnej prośby pani Teresy, aby choremu, jako lekarstwo na osłabienie serca, pozwolono pić czarną kawę. („To, co oni kawą nazywali!“ — sarknie biedny Włoch).

Następny dekret cesarza pozwolenie cofnął, gdyż „kawa jest luksusem“. Jako luksus kazał również odebrać Confalonieremu poduszeczkę haftowaną dla niego przez panią Teresę w czasie jej pierwszej, bolesnej podróży do Wiednia, którą litość dozorców zostawiła mu dotychczas.

W nieubłagane oczy „okrutnego kardynała“ spojrziała biedna suplikantka dopiero w r. 1825.

10-go maja o godzinie 5-ej popołudniu grzmot działał najmniej wiernej ludności Medjolanu, że najmiłociwszy władca wraz z dostojną małżonką zbliżają się od Loreto. „Niepodobieństwem jest opisać entuzjazm, jaki ogarnął umysły w dniu tak radosnym i pamiętnym“, pisze kronika.

Przeszło tydzień trwały uroczystości. „W dniu 19-go maja J. C. Mość raczył udzielać posłuchań. Radość rozpromieniała oblicza osób, które dostały niezwyklego szczęścia: znalezienia się w obecności Najdobrotliwszego Monarchy“.

Radości nie było na obliczu hrabiny Confalonieri, choć i ona wraz z teściem dostała „niezwykłego szczęścia“. Franciszek był tym razem uprzejmy, powiedział parę komplementów hrabiemu Witalianowi pod adresem „crotliwej synowej“, ale — mówi zrozpaczona kobieta — w sprawie jedynej, która mnie obchodzi na świecie, nic mi nie obiecał i niczego spodziewać się nie mogę“.

„Mąż pani ma się dobrze — rzekł cesarz — i odbywa ćwiczenia duchowe dla zbawienia swojej duszy, a zatem niech się pani pocieszy.“

(c. d. n.)

K. Bielańska.

TYSIĄC PIĘCSET KILOMETRÓW MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ

(Korespondencja własna „Bluszczu“)

Paryż, w listopadzie 1924 r

Samolotem z Warszawy do Paryża! Wkrótce — bardzo prędko niezawodnie, podróż taka będzie należała do rzędu spraw zupełnie banalnych, każdemu dobrze znanych. Za dziesięć lat nie będzie porządnej szkoły, która nie miałaby własnego samolotu (specjalny typ szkolny) dla lekcji geografii, fizyki, malarstwa... Wycieczki szkolne będą się odbywały wielkimi omnibusami powietrznymi.

Wybrałam się więc w połowie października (akurat na zakończenie wielkiego tygodnia propagandy lotniczej w Polsce) z Warszawy do Paryża samolotem Towarzystwa „Franco-Roumaine“. Przestrzeń tysiąc czterysta pięćdziesiąt kilometrów (dokładna cyfra drogi powietrznej) w 9-ciu godzinach, w przelocie ponad czterema różnymi krajami.

Odważna osoba! (Bywają i takie głosy). Raczej nie, a nawet wcale nie. Ale spokoju, jaki ogarnia mnie w powietrzu, w przeczystej atmosferze, wobec rozległego horyzontu, w jasniejącym słońcu — takiego uciszenia się wewnętrznego — rzadko doznaje się na ziemi. Tam w górze jest tyle niezmiernego zachwyty, że niepodobna myśleć o „strachu“.

Obok siebie mam pilota (bo całą drogę odbywałam nie w kabinie, a na uprzywilejowanym miejscu, przy pilocie).

Pilota trzeba widzieć w powietrzu! Człeczyna na lądzie często niepozorny, nieciekawy, jakich jest tysiące. Na wyżynie, między niebem a ziemią — przeistoczony. Coś bohaterskiego w najpospolitszym profilu, wystrzonym orlem spojrzeniem w przestrzeń, wyrazem skupienia i decyzji. Władne i pewne siebie ręce spoczywają na kierownicy. Przed nim busola, mapa, miernik wysokości i inne przybory żeglarza. Nadewszystko zaś doświadczenie i zimna krew. Część drogi odbyłam z pilotem który wcale mapy nie wyjął z kieszeni a busolę nastawił dopiero, gdy od ziemi oddzieliły nas gęste, nieprzebrane chmury: na swoim odcinku podróżuje niemal codziennie od trzech lat.

Byłoby nie do pomyślenia „bać się“ przy nim.

A kiedy pilot — zdobywca powietrza, uśmiecha się zwycięsko do nieba i słońca — z rzewnością i zachwytem dziecięcym wobec tylu cudów, ma się wrażenie, że tak pobożnej i tak zuchwałej modlitwy nie wypowiedziałyby niczyje usta na ziemi...

Demon ruchu i przestrzeni — nowoczesne bóstwo, władające duszami twórcami — kusił człowieka tak długo, aż człowiek zaczął latać, niby ptak. I jak ptak, poczuł w sobie lekkość w kościach, radość niebieską powietrza, bez troskę śpiewaczą serca. Straszliwa romantyczność błękitu!

Kto raz jej zakosztował, nie zapomni i tęsknić będzie nawet nieświadomie do tego, by oderwać się znów od ziemi, w upojeniu wyzolenia uczuć wichru pęd szalony wkoło głowy, usłyszeć jego potężne granie o metal i szkło samolotu...

Demon ruchu i przestrzeni — bóstwo nowoczesnego człowieka, zżądzanego w pośpiechu, w pogoni za fortuną i sławą: geszefciarza, fabrykanta, giełdjarza, uczonego i badacza, polityka, generała i inżyniera równie dobrze, jak modnisi i snoba. Sługą jego i kapłanem zawsze w pościgu za godziną i minutą — dziennikarz.

Kto raz przebył przestrzeń między Warszawą a Paryżem w 9 u godzinach, między Pragą a Wiedniem w 2-u godzinach, między Warszawą a Konstantynopolem w 20-tu godzinach, ten już ocenił swój zysk, swój czas i pieniądz. To się opłaca.

Powietrze jest zorganizowane. Szlaki prowadzą niemal, jak bite gościńce.

Linja Warszawa—Paryż, uruchomiona przez Towarzystwo Żeglugi Powietrznej („Société Franco-Roumaine de Navigation Aérienne“) prowadzi przez następujące stacje: Warszawa (lotnisko Mokotowskie)—Praga—Strasburg—Paryż. To samo Towarzystwo eksploatuje linje: Praga—Wiedeń—Belgrad—Bukareszt—Konstantynopol—Angora. W tych punktach znajdują się wszędzie lotniska, aerodromy, warsztaty, biura pasażerskie i pocztowe „Franco-Roumaine“. Na przestrzeni kursuje około 100 samolotów — aparaty — dwupłatowce metalowe na 4-ch pasażerów i pocztę. Z powodów atmosferycznych sezon lotniczy zamiera podczas zimy, ale czynione są usiłowania utrzymania komunikacji przez cały rok.

Towarzystwo „Franco-Roumaine“ posiada ładnie zorganizowane stacje na lotniskach. Pasażer nie potrzebuje wiele troszczyć się o siebie i o swój bagaż. Urzędnicy i służba ułatwiają wszelkie formalności. Autobus firmowy odwozi podróżnych z lotniska do centrum miasta, często odległego. Te wygody i europejska uprzejmość też nie ujmują uroku podróży, z chwilą gdy pasażer samolotu styka się znowu z ziemią.

Samolotem z Warszawy do Paryża! Opis tej podróży? Świat widziany z góry? Ze stu, tysiąca i dwu tysięcy metrów? Wrażenia?

A więc: panorama, kino, lekcja geografii, plein'airu i perspektywy. Shimmy z najrozkoszniejszym kochankiem. Kąpiel powietrzna i słoneczna. Jazz-band motoru, szkła i metalu. Chorały wichru. Fikle kołyszących się skrzydeł samolotu: drzewa, krowy, wieże, góry stojące na głowie. Orgje białych balwanów chmur. Miasta — zabawki, domino i mah-jong. Śmiech słońca bezczelny, czarujący i w tem wszystkim — człowiek.

Człowiek, który się czuje radosny, pełen entuzjazmu i wiary we wszelkie nieprawdopodobieństwa — młody i szalony.

Już tyle dni chodzę tylko po brukach Paryża. Ale nie jestem pełna, czy głowy nie zostawiłam w błękitach.

Jadwiga Krawczyńska.



OD REDAKCJI.

Wobec ukazujących się bardzo często w innych pismach przedruków z niniejszej rubryki bez podania źródła, z którego są zaczerpnięte, uprzejmie prosimy wszystkie pisma, tak krajowe jak i zagraniczne, chcące korzystać z wiadomości, w tej rubryce zawartych, o wymienianie za każdym razem „Bluszczu“, jako źródła informacyjnego.

Do Redakcji naszej wciąż napływają odpowiedzi na rozesłane przez nas do całego szeregu pism kobiecych zagranicznych listy z propozycją nawiązania stosunków. Podajemy poniżej jeden z tych listów, jako niezmiernie dla nas miły i cenny objaw serdecznych uczuć kobiet francuskich dla Polski:

Paryż, 18. X. 1924 r

Szanowne Panie!

Propozycja Pań odpowiada w zupełności memu gorącemu pragnieniu nawiązania przyjaznych stosunków z Waszym krajem, który nam, Francuzkom i katoliczkom, jest tak bliski i drogi.

Z miłą chęcią pozwalamy Sz. Paniom na korzystanie z materiału, zawartego zarówno w bieżącym naszym wydawnictwie, jak i w jego rocznikach poprzednich. Będziemy się w zamian starały zapoznać nasze czytelniczki z pracami literackimi i społecznymi kobiet polskich, o których pismo Pań tyle przynosi informacji. Prosimy również o obiektywne wzmianki i artykułiki w języku francuskim, gdyż mało jest u nas, niestety, osób władających Waszym językiem.

Pozwalam sobie jeszcze raz podkreślić, jak wielką radość mi sprawia możliwość wejścia w bliższe stosunki z Paniami i jak gorąco my wszystkie Francuzki prosimy Boga, aby szlachetną Ojczyznę Waszą obdarzył wreszcie pokojem i szczęściem, uzyskanem za cenę tylu bohaterkich wysiłków.

Proszę przyjąć wyrazy mych siostrzanym uczuć oraz serdeczne życzenia powodzenia dla Sprawy, której Panie służą.

Marja Mangeret

redaktorka miesięcznika „Féminisme Chrétien”

KOBIETA A PRZEMYSŁ

W jednym z ostatnich numerów „The Woman's Leader” znajduje się zajmujący artykuł p. E. Abbot o zagadnieniach, związanych z pracą kobiet w przemyśle angielskim. Pani Abbot pisze między innymi:

„Prawdą jest, że nasze ustawodawstwo zmierza ku stwarzaniu coraz to lepszych warunków dla robotników, zatrudnionych w przemyśle, nie można jednak pominąć milczeniem faktu, że wszystkie te ulepszenia stosują się prawie wyłącznie do pracowników mężczyzn. Dotychczas nie widzimy ani jednego kroku, czynionego w kierunku zrównania kobiet pod względem praw z mężczyznami. Nowa ustawa o pracownikach fabrycznych (The Factories Bill) pozwala robotnikom osiągnąć wiele z tych warunków, do których dążyli. Dla robotnic jednak pozostaje jeszcze ten sam dawny problemat: zadowolnić się tem, co inni uważają dla niej za wystarczające. A któż są ci „inni”? To—przeważnie—cała, bierna masa społeczeństwa, która musiała z konieczności tyle się zajmować problematem pracy kobiet podczas wojny, że teraz z radością odetchnęła od tej troski; to są wielkie związki przemysłowców, z których każdy — poszczególnie biorąc — jest w zupełności przychylnie usposobiony do naszej sprawy, lecz en bloc obawia się całego szeregu niepożądanych dla siebie rzeczy, przede wszystkim konkurencji niewykwalifikowanych sił kobiecych; to są mężczyźni, którzy patrzą na przemysł jako na wyłącznie swoje pole do działania, a na dobrze płatne zajęcia jako na swój przywilej; są to wreszcie (i to jest najsmutniejsze) kobiety, nieświadomione dostatecznie w tych wszystkich sprawach i obojętne na los wszystkich swoich siostr, wyzyskiwanych i krzywdzonych od tylu wieków.

A tymczasem oto są fakty, którym nikt zaprzeczyć nie może:

Doświadczenia lat wojennych wykazały zupełne uzdolnienie kobiety do wykonywania setki zajęć, które przedtem były uważane za niedostępne dla niej. Konieczność zastąpienia sił roboczych męskich dała im sposobność do podjęcia całego szeregu prac, określonych

dawniej jako „zbyt ciężkie dla kobiety” — i cóż się okazało? Oto spełniały one te prace nie tylko bez szkody dla zdrowia, lecz przeciwnie, w wielu wypadkach nawet z korzyścią dla ogólnego stanu organizmu. Da się to przede wszystkim wytłumaczyć lepszymi warunkami odżywiania, związanymi naturalnie z lepszymi zarobkami. Na ogół można powiedzieć, że praca, wymagająca znacznego wysiłku fizycznego, jest zdrowszą dla kobiety od pracy, przy której jest zupełnie pozbawiona ruchu. Ta ostatnia jest stanowczo najniezdrowsza. Natomiast w większości zajęć lżejszych, wymagających ruchliwości i zręczności, kobiety, jak się okazało, przewyższają znacznie mężczyzn. A jednak... na cóż się nam przydały dotychczas statystyka i doświadczenia lat ubiegłych? Sprawa zrównania zarobków i praw kobiet, pracujących w przemyśle, z warunkami, uzyskanymi przez mężczyzn nie posunęła się dotychczas bodaj o jeden krok naprzód.

OLBRZYMIA FORTUNA ARTYSTKI.

W Nowym Jorku zmarła sędziwa artystka sceniczna, nazwiskiem Crabtry, która pozostawiła po sobie spadek w sumie 4 milionów dolarów. Olbrzymi ten fundusz uzbierała ze swej pracy teatralnej. Urodzona w roku 1847, zaczęła występować na scenie już w wieku lat sześciu. Nie lubiła nigdy zbytku i nie prowadziła wystawnego życia, a toalety jej były zawsze bardzo skromne. Żyjąc oszczędnie, zgromadziła tak znaczną fortunę, że mogła po trzydziestu latach pracy artystycznej opuścić teatr i zamieszkać w kupionej przez siebie willi, w której spędziła resztę swych dni w zupełnym odosobnieniu, zużytkowując na swe utrzymanie jedynie część procentów od swego kapitału. Umierając, zapisała cały swój olbrzymi majątek na cele społeczne i filantropijne; między innymi znaczną sumę przeznaczyła na fundusz zapomogowy dla inwalidów wojennych.

Z. B.

W Y C H O W A N I E F I Z Y C Z N E I Ż Y C I E S P O R T O W E K O B I E T

DZIECKO NIE JEST „MAŁYM CZŁOWIEKIEM”.

Zajmując się dziećmi, często ulegamy złudzeniu, że dziecko różni się od dorosłego jedynie stopniem swego rozwoju. Że jest mniejsze, słabsze, mniej rozwinięte umysłowo, że, jednym słowem, jest człowiekiem tylko małym, może więc uczyć się, bawić, można wogóle stosować do niego to, co do dorosłego, byleby w minjaturze.

Rozumując tak przy wychowaniu fizycznym dziecka popełnilibyśmy zasadniczy błąd, który mógłby fatalnie odbić się na jego zdrowiu, a także charakterze, a którego większość matek unika intuicyjnie, nie wchodząc w istotę właściwości fizjologicznych i płynących z nich wielu moralnych cech dziecka w różnych okresach jego życia.

Jeśli jednak chodzi o nadanie samodzielnie kierunku rozwojowi dziecka, o kontrolę bez ciągłego zwracania się do lekarzy (którzy niestety zbyt rzadko u nas są higienistami i zbyt mało interesują się wychowaniem fizycznym) o to, by matka mogła sama przeprowadzić z dzieckiem trochę niezbędnych ćwiczeń fizycznych, nie wystarczy poleganie na intuicji.

Ponieważ w czasie wczesnego dzieciństwa całe wychowanie dziecka jest prawie wyłącznie „fizyczne”, są to rzeczy ogromnie doniosłe i wymagające ze strony matek dużego zasobu wiadomości z dziedziny fizjologii i higieny, a także ustawicznych badań i obserwacji własnego dziecka.

Ja na tem miejscu mogę tylko podkreślić ważność szczegółowego zapoznania się z nowoczesnymi zasadami wychowawczymi i dać trochę ogólnych wskazówek o tem, co dotyczy ćwiczeń fizycznych.

Podstawową różnicą, o której nie wolno ani na chwilę zapomnieć, między dzieckiem a dorosłym jest fakt, o którym wiemy doskonale, ale za mało wyciągamy z niego wniosków, że dorosły ma już wszelkie swoje właściwości fizyczne i moralne ustalone, jest już takim, jakim jest.

Dziecko natomiast jest w ciągłym stanie przemian, rozwoju i to bynajmniej nie stopniowego, nie harmonijnego, ulega ono ciągłym wahaniom, nieraz bardzo indywidualnym.

Wielu autorów — lekarzy starało się ująć, w pewne ramy te fazy rozwojowe, znaleźć pewne cechy wspólne, łączące w okresy poszczególne lata czy miesiące życia dziecka i poniekąd dało się to ustalić. Ale tylko z dużym przybliżeniem.

I tak dzielą życie dziecka na:

1) Okres pierwszego dzieciństwa (niemowlęctwo do czasu ząbkowania, koło 30 miesięcy).

2) Średnie dzieciństwo do lat 7.

3) Okres szkolny:

7 — 14 — 15 lat dla chłopców,

7 — 12 — 13 lat dla dziewczynek

4) Okres dojrzewania.

Podział ten słuszny zupełnie, ale zbyt ogólny nie może dać wyraźnych wskazówek co do traktowania dziecka, między np. siedmioletniem a przypuścmy jedenastoletniem są olbrzymie już różnice.

Znacznie praktyczniejsze znaczenie ma ujęcie w obrazy właściwości dziecięcej pewnych czasowych nasileń rozwoju, czasowego „bujania”

w zwyż i powtarzającego się zatrzymywania się we wzroście, powodującego korzystniejszy stosunek wielkości ciała do wielkości organów wewnętrznych.

Według Stratz'a w życiu dziecka wyróżnić można następujące stadia:

- 1) od 1—4 lat okres pierwszej pełni
- 2) od 5—7 lat „ pierw. bujania
- 3) od 8—10 lat „ drugiej pełni
- 4) od 11—15 lat „ drug. bujania
- 5) od 15—20 lat „ dojrzewania.

W okresach pełni dziecko dobrze wygląda, tłuścieje, matki są zadowolone, uśmiechnięte.

Przy każdym, nieuniknionem bujaniu występującem mniej lub więcej, a czasem bardzo silnie, otoczenie zalamuje ręce, dziwi się, szuka zewnętrznych przyczyn w przepracowaniu, warunkach domowych itp.

Matka, przygotowana na ten objaw rozumie, że przyczyna leży w naturze samej, a nie nazewnątrz, nie będzie się martwić, lecz postara się tylko zapewnić dziecku odpowiedni tryb życia.

W okresie „pełni“ dziecko jest normalniejsze, można od niego więcej wymagać, można je hartować, dawać dużo ruchu, uczyć nowych sportów i ćwiczeń, zapewniając tem tężyznę i odporność na okresy następne.

W okresie „bujania“ należy postępować z dzieckiem znacznie ostrożniej. Więcej spoczynku i snu, mniej ruchu, jak najwięcej niech przebywa na dworze, ale niech się bawi spokojnie. Nigdy dziecka takiego nie zmuszać do zabaw i spacerów. To, co często bierzemy za lenistwo czy hierność, jest tylko potrzebą spokoju.

Najlepszą wskazówką, czy ćwiczenia fizyczne wpływają dodatnio na organizm, jest bardzo staranne obserwowanie, czy dziecko nie traci po nich apetytu i humoru, czy dobrze sypia.

—Przy wszelkich ćwiczeniach trzeba mieć na względzie, że u dziecka kości mają w stosunku do swej masy znacznie więcej naczyń krwionośnych, są bardziej miękkie i giętkie. Nie ulegają łatwo złamaniu, ale w przeciwieństwie do kości starszych łatwiej się gną, skąd wypływają zgubne skrzywienia kręgosłupa, nóg itp., do których nie trzeba dopuścić, bacząc pilnie na prawidłową postawę dziecka.

Tu odrazu muszę zastrzec, że wymaganie, aby dziecka bez przerwy trzymało się prosto jest absurdem! Postawa taka męczy je a przez to denerwuje, upominanie będzie ciągle bezskuteczne, więc niepotrzebne. Lekkie przychylenie w przód nie jest tak szkodliwe, bo nie wywołuje skrzywień bocznych, asymetrycznych.

Lepiej dziecka nie upominać, a dawać mu dużo ćwiczeń prostujących, a więc zwisów na drabinkach, bumach czy wszelkich domowych przyrządach jak kółka, orczyki itp., w lecie na gałęziach drzew

ćwiczeń w postawie leżącej, skłonów, wzmacniających mięśnie pleców, gier, przy których trzeba prostować się i pochylać do ziemi itp. (byłe nie krokiet, przy którym dzieci stoją długo z głową pochyloną i zgarbione).

Mięśnie u dzieci męczą się szybciej (szybsze wchłanianie tlenu i wydzielanie substancji trujących) ale i prędzej znacznie wracają do normy. Stąd wynika że dziecko, gdy bawi się samo bez kierunku, może cały dzień biegać i skakać, bo gdy chce, samo na chwilę zabawę przerwie, usiądzie sobie gdziekolwiek. Natomiast długie spacery choćby bardzo spokojnym, miarowym krokiem, ale bez odpoczynków więcej dziecko męczy niż najchybsze zabawy.

Krażenie krwi odbywa się u dzieci znacznie szybciej niż u dorosłych, z czem stoi w ścisłym związku to co mówiłam, o mięśniach.

Najważniejszą rzeczą jest zmienianie się w stosunku szerokości naczyń krwionośnych do rozwoju serca. Waga i pojemność serca ulega ogromnym wahaniom.

W okresie pierwszego dzieciństwa naczynia te są znacznie szersze w stosunku do pojemności serca niż u dorosłych, a zatem praca serca łatwiejsza, także stosunek pojemności do powierzchni ciała większy, co też pracę serca zmniejsza, bo im większa powierzchnia ciała, tem więcej drobnych naczyń krwionośnych, tem więcej krwi musi serce przepychać.

Cisnienie krwi jest u dzieci słabsze. Ścianki naczyń cieńsze, a powierzchnia ich duża powoduje, że dziecko łatwiej traci ciepło, narażone jest na gwałtowniejsze zmiany temperatury, wynika stąd skłonność do zaziębień, szybkie chłodnięcie przy myciu czy kąpiele. Dlatego też trzeba dzieci hartować bardzo ostrożnie i stopniowo.

Przeciwnie w wieku późniejszym koło lat 6—8 miu serce u dziecka powiększa się tak znacznie, że stosunek jego do naczyń krwionośnych zupełnie się zmienia, są one teraz raczej za wąskie.

Serce pracuje teraz z wysiłkiem, by przez te wąskie rurki przepchnąć dostatecznie dużo krwi.

W okresie tym dzieci miewają częste bóle głowy i krwawienie nosa, powodowane za dużym przyływem krwi do głowy; ręce i nogi mają równocześnie chłodne.

Ponieważ serce ma przy normalnym ruchu pracę, nie należy jej powiększać, wskazane będą wtedy ćwiczenia zupełnie lekkie, gry spokojniejsze.

Dzieci oddychają znacznie szybciej niż dorośli, często jednak przy ruchu ożywionym oddychają zbyt powierzchownie, nie mają wprost czasu na pełny, głęboki oddech. Dlatego jak najczęściej należy stosować z niemi ćwiczenia oddechowe, o których już kilkakrotnie wspominałam, należy je przyzwyczajać, aby same po

każdem forsowniejszem ćwiczeniu, po biegach, skokach wykonywały kilka spokojnych, silnych oddechów. Zajęcie natomiast siedzące, odrabianie lekcji itp. należy przerywać im od czasu do czasu. Co jakie 20 minut kazać wstać, poruszać się, wyrostować, odetchnąć głęboko.

Bynajmniej im to nie przeszkodzi w zajęciu, przeciwnie pobudziwszy krążenie krwi ożywi i działalność mózgu.

I. Fabrycowa.

19. X. Urzędziła „Polonja“ Międzyklubowe Zawody Lekkoatletyczne dla Pań. Zgłosiły się niestety tylko członkinie Polonji, które wykazały jak zwykle swój wysoki poziom sportowy.

100×200×400×400×200×100 brało udział 6 zawodniczek: pp. Schmidówna (młodsza), Kielichówna, Lulla, Kwaśniewska, Baranówna i Schmidówna (druga). W biegu z płotkami p. Schmidówna (młodsza) i p. Baranówna. P. Schmidówna doszła do mety pierwsza w 20' 8" bijąc tem uprzedni rekord kobiety.

Komunikaty pism codziennych pominęły milczeniem udział kobiet w „Święcie Przystosobienia Wojskowego“, które odbyło się w Agrikoli 12.X. tymczasem wystąpiły tego dnia trzy organizacje kobiece, biorąc udział w zawodach i defiladzie. W pochodzie widzieliśmy oddziały „Klubu Instruktorskiego Przystosobienia Wojskowego“, oddział Żeński „Związku Strzeleckiego“ oraz „Żeńską Drużynę Harcerską“. Prócz tego dwie pierwsze organizacje rozegrały między sobą mecz piłki latającej.

Z KSIĄŻEK

Hanna Mortkowiczówna. „Jarzębiny.“ Wyd. T-wa Wydawniczego. Warszawa 1924 r.

Wpadła mi w ręce taka przyjemna, taka młoda książeczka. Tytuł: „Jarzębiny“ — Hanny Mortkowiczówny.

Mimowoli budzi się zapytanie: Jako — już? Przecież to ktoś, kto był tak jeszcze niedawno na pensji. A dziś już — szkoła sztuk pięknych, duże zdolności malarskie, studia na doktoracie literatury — i tomik poezji. Tak tak, szybkiemi i zdobyczymi krokami nadchodzi młode, rzeźwe pokolenie.

Wiersze są o wiosnie, lecie, widoku z okna, kolorach świata — i przyjaźni. Są świeże i są piękne.

Naturalnie w tych wierszykach wyczuwa się przedewszystkiem chłonną wrażliwość artystyczną, dzięki czemu przychwytemy tam lekkie wpływy — to być musi. To nie ujmuje im piękności — chwilami wprost zadziwiającej. „Jarzębiny“ to poezja i nic mniej. Oczywiście nie przeszło się jeszcze tych wielu dni i nocy życia, z których powstają wielkie dzieła sztuki i ciężkie do przeżyć. Oczywiście są to raczej zaniepokojone, urocze pytania.

Lecz jest w tem piękna skromność i poważna szczerłość, mocne, soczyste odczucie natury, pejzażu — pęd od barwności — do dużej barwności. Sposób wierszowania świadczy o wielkiej kulturze artystycznej. Początek doskonały.

Więcej naprzód, złota młodości.
Ostrożnie ale śmiało.

M. D



* Z TEATRÓW *

TEATR IM. WOJCIECHA BOGUSŁAWSKIEGO.

„Opowieść Zimowa” *Williamia Szeksp meta.* Inscenizacja *L. S. Schillera*, Kompozycja przest rzeni scenicznego i postaci *A. Pronaszki*. Muzyka *L. M. Rogowskiego*, Przekład *Ulricha*.

Gdy na łamach „Kurjera Polskiego” z 1830 r. wielki herold romantyzmu polskiego, *Maurycy Mochnacki*, wywalczał drogę Szeksp irowi — którego uważał za „patryarchę każdego teatru” — gdy wśród przesądów obozu pseudoklasycznego — potężnymi uderzeniami swej krytyki literackiej — torował drogę nowej sztuce i nowemu teatrowi — wtedy to rzucił pamiętne zdanie: „Może nareszcie i u nas obudzi się chęć staranniejszego przepolszczenia i umiejętniejszej wystawy dzieł Szekspira na scenie narodowej.” Te właśnie słowa Mochnackiego dźwięczały mi w uszach, na przedstawieniu „Opowieści Zimowej”

Wielka i twórcza praca, którą czuło się na każdym kroku w wystawieniu sztuki nieśmiertelnego mistrza angielskiego, kazała mi raz jeszcze uświadomić sobie prawdę, którą głosił ongiś Mochnacki o Szekspirze — mówiąc — „On oświeca rozum, burzy przesady, umarły — silnie działa na umysł niżeli wszyscy razem żyjący pisarze dramatyczni.”

Szekspira gra teatr w Polsce od szeregu lat — od roku 1782, gdy Franciszek Zabłocki przerobił na język polski z tekstu francuskiego komedję Szekspira „Samochwał albo amant wilkołak,” która tegoż roku „na teatrze warszawskim była reprezentowana.” Odtąd Szekspir zdobywał sobie coraz to nowych tłumaczy — i coraz częściej genjusz jego potężnym blaskiem oświetlał deski polskiej sceny. Nie ulega kwestji, że w dziełach Szekspira w Polsce — przedstawienie „Opowieści Zimowej” w teatrze im. Bogusławskiego będzie miało swoją kartę — i to kartę c. lubną.

Szekspira grają już dziesiątki pokoleń aktorów. Każde pokolenie wnosi nową interpretację nieśmiertelnego tekstu — w rękach nowych ludzi prastare dzieła nabierają nowego blasku nowego charakteru, nowego oblicza. W ten wiecznie młody posąg Szeksp irowskiej twórczości — każde pokolenie wkłada serce, które uderza nowym rytmem krwi i pulsów.

W tem leży wielkość Szekspira — w tem tkwi część tajemnicy jego nieśmiertelności — to sprawia, dlaczego Mickiewicz przedziera się przez tekst dramatów Szekspira ze słownikiem w rękę — jak ewangelicznemu bogacz przez ucho od igły do rajy — dlaczego Goethego niepokoi duch Hamleta, jak ongiś triumf *Milcojada* wybijał ze snu *Temistoklesa*.

Rozumna i pełna konsekwencji inscenizacja *L. S. Szillera*, poparta świetną kompozycją sceny i postaci *Pronaszki* sprawiły — że istotnie bez przesady i bez entuzjazmowania się (choć zaiste trudno mówić o tej pracy bez entuzjazmu) trzeba przyznać, że wystawienie „Opowieści Zimowej” jest swego rodzaju ewenementem w życiu kulturalnym naszej stolicy. Sam wybór tej właśnie komedji Szekspira był nad wyraz szczęśliwy. Już pomijam, że jest to jeden z utworów najmniej u nas znanych, nęci on niezwykłymi pięknościami poetyckimi, jak i treścią groźną, straszną, a tak żywo przypominającą w kłechdach mazowieckich zawarte wydarzenia z wieku XIV o żonach, niewinnie karanych za rzekome wiarołomstwo, o dzieciach zaginionych, a później w cudowny sposób odszukanych, o surowych tyranach mężów, którzy

potem w modlitwach i postach szukali odpuszczenia grzechu. Dla grona ludzi sztuki, którzy zgrupowali się w teatrze im. Bogusławskiego — „Opowieść Zimowa” stała się nieprzebraną kopalnią pomysłów, pomysłów tak bogatych, nieoczekiwanych, a tak doskonałych — że widz już nie jest w stanie wyobrazić sobie inaczej pojętej inscenizacji „Opowieści.”

Możnaby mieć pewne zastrzeżenia co do przeładowania baletem aktu drugiego oraz co do zakończenia tańcami aktu trzeciego, — ale zbędność baletu wynagradzają jego wartości malarskie i taneczne.

W wykonaniu aktorskiem osiągnięto niesłychanie subtelne sharmonizowanie całego zespołu. Jakby w mocną kłamrę ujęła myśl reżyserska twórczy wysiłek każdego z aktorów i każdą rolę powlekła dostojną patyną jednolitości w rozumieniu szczegółów i całości sztuki.

Jak doskonale wytrzymał cały zespół aktorów grobowy charakter części pierwszej, — ile werwy i światła wnieśli artyści w słoneczność części drugiej!!

Że część pierwsza stała na znacznie wyższym poziomie artystycznym niż część druga — to jest inna sprawa — albo, powiedzmy szczerze, rzecz gustu.

Cudowne zespolenie barw czerwieni i złota, lub czerni i fioletoów, doskonale odegrana rola Nowakowskiego jako *Leontesa*, *Horeckiej* jako *Hemiony* i *Kuniny* jako żony *Antygona* — zostawiają niezatarte wrażenie.

p—a.

WPŁYW ŻYCIA AKTU- ALNEGO NA MODĘ

W ostatnim liście zwróciłam uwagę Szanownych Czytelniczek na dwa panujące w obecnej modzie kierunki, w których Japonja i Dyrektorjat znalazły wyraźne odbicie. — Dziś chciałabym zaznaczyć, dlaczego te, a nie inne wpływy, zdobywają, stosownie do chwili, prawo obywatelstwa.

Moda, tak jak każdy inny objaw estetyki w zakresie ludzkiej działalności, zmienia się bezustannie, rozwija się, ulega wpływom... Każdy kierunek w modzie powstaje z przyczyny mniej lub więcej bezpośredniej, ale zawsze istotnej, która często zrodzona z fantazji artysty, jest niemniej zupełnie pozytywną. Przyczyna ta może być wywołana zwykłym snobizmem, może być stylem, o którym mówi się w pewnych kołach towarzyszkich, ideją, rzuconą przez kogoś na widowni, wreszcie fantazją jakiegoś sławnego rysownika. Najczęściej jednak należy szukać tej przyczyny w wypadkach bieżącego życia. W świecie artystycznym, czy to politycznym, zdarzają się fakty, o których dużo i głośno się mówi, które obejmują szersze horyzonty i odbijają się nawet w modzie.

Fakty te narzucają jakiś styl, wprowadzają nas w minioną epokę, albo nadają Modzie egzotyczny charakter kraju, z którym są związane. Bardzo charakterystycznym pod tym względem było swego czasu odkopanie grobu „*Toutank-amona*”. Fakt ten na pozór niemający nic wspólnego z modą, dał nam jednak całą masę egipskich naleciałości w kolorze i kształcie: „*Rouge brique*, *vert Nil*, or *pale*, *bleu turquoise*” — to wszystko reminiscencję z krainy piramid. Suknie o pasach nisko związanych na przedzie, bogate przepaski na czołach, haftowane w hieratyczne wzory... to Egipt w modzie.

Okropna katastrofa w Japonji, która przeniosła uwagę naszą do kraju „*Lotiego*” dała również, pomimo całej grozy swojej, szerokie pole do imitacji Japońszczyzny w Modzie. Jeszcze bardziej zmiennym przykładem wpływu życia aktualnego na Modę, są bezsprzecznie „*gry olimpijskie*” — to żywe echo ze starożytności Grecji. Czy nie uważacie, Szanowne Czytelniczki, że gry te zbliżają nas nieco do czasów prostych tiuniki, dając nam

styl „*Neo-Directoire*”, który dziś wchodzi na porządek dzienny.

Tak jest; Moda kroczy w ślad życia i będąc odbiciem bieżących wypadków, wyraża się często w fantazjach, trwających przez sezon tylko, ale niezależnie od tych kaprysów, posuwa się z wolna według niezbitych praw, do nowej orientacji.

Wiek nasz, wiek sportu, chce nadać wszystkiemu, co dawniej było skomplikowane, zbyteczne i niewygodne, formę prostą i czystą, Te dążenia do upraszczania, cechuje nietylko Modę w ubiorach, ale wogóle Modę w najszerszym zakresie.

Tendencja ta nie jest niczem innym, jak reakcją przeciwko luksusowi, panującemu w sferach plutokratycznych, jak również przeciw snobizmowi młodej generacji. Jest to powrót do klasycyzmu, do linii prostej, czystej i szlachetnej, a zarazem bardzo wystudjowanej. Wreszcie dążenie to jest wynikiem ogólnego zmęczenia, i potrzebą wypoczynku duchowego po okresie powojennym.

W tem nowem otoczeniu, gdzie wszystko jest proste, wyraźne i praktyczne, czy nie wydaje Wam się, Szanowne Czytelniczki, że kobieta nie mogła zachować przesądów sławnego „*régime-u*”? Czy może dziś kobieta być zwolenniczką skomplikowanej na starą modłę fryzury, olbrzymiego kapelusza i trenu u sukni? Nie, nieprawdaż, byłoby to bowiem śmiesznym anachronizmem. Niech ci, co nas lekkomyślnie krytykują, zechcą zrozumieć, że my, kobiety, jesteśmy tylko dziećmi naszego wieku, że się stosujemy do nowych warunków egzystencji z tą swobodą, która każę niektórym owadom przywodzić szatę najbliższego otoczenia. Każdy okres kładzie piętno swoje na sztuce i Modzie, która idzie z nią w parze. I tak po bogatym „*peplum*” rzymskiem, przyszedł, surowe mnisie szaty; wybujała wspaniałość XVII-go wieku nastąpiła po renesansowych sukniach dworu Franciszka I-go; Rewolucja, ścinając głowy, skasowała peruki i tiurniury, dając pierwsze proste i wąskie suknie,—i tak dalej po przez wieki—ekscesy rozpusty, sprwadzały dążenia do surowości w ubiorze.

Początek 20 wieku ma znowu tendencję do prostoty, ale prostoty o niesłychanej subtelności w gatunku, w dodatkach i w wykończeniu. Ta finezja w prostocie, która tylko w paryskiej atmosferze może być należycie pojęta, jest, wiercie mi, Szanowne Czytelniczki, prawdziwym wyrazem piękna.

Sekwa

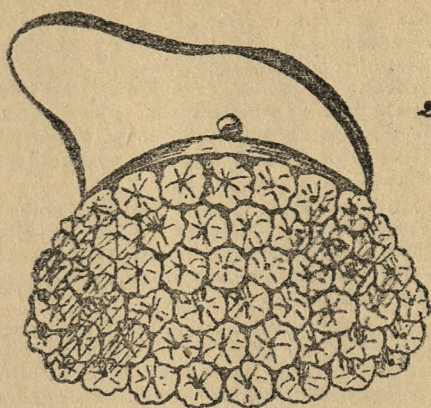
Z ŻYCIA STOWARZYSZEŃ KOBIECYCH

Polskie Stowarzyszenie Młodych Kobiet jedno z najmłodszych stowarzyszeń naszego miasta, bo liczące zaledwie trzeci rok istnienia, ale już chlubnie znane ze swej działalności oświatowo-społecznej, dało nam znow dowód swej żywotności i nieustającej troski o podniesienie kulturalnego poziomu polskich dziewcząt.

Dnia 19 b. m. w sali Handlowców (ulica Sienna 16) ujrzeliśmy poetyczną „Baśń o królowej Róży” *Gerson Dąbrowskiej* w wykonaniu 80-ciu członkiń grup młodszych „Klubu Błękitnego” (Szara 1).

Ileż pracy i trudów kosztować musiało tak staranne wyreżyszerowanie licznego zastępu młodziutek artystek, których wyszkolenie w dykcji i w tańcu było więcej, niż poprawne.

Podkreślić też należy pomysły i gustowne stroje, przeważnie z bibułki, które dodając wdzięku młodym twarzązkom, czyniły je do żywych kwiatów podobne i w ten chmurny dzień jesienny dały nam prawdziwie wiosnianą baśń barwną i pełną powabu.



WORECZKI

Niejedną z nas pamięta jeszcze te czasy, kiedy woreczki były zupełnie niezbrane. Pieniądże nosiło się w portmonetce, a portmonetkę i chustkę do nosa w kieszeni, wszystkie pomiędzy fałdy szerokiej spódnicy.

Moda wąskich sukien sprowadziła modę woreczka. I zapanował wszechwładnie, bo dzisiaj żadna z nas obejść się bez niego nie może. Woreczki noszone są różne, zależnie od użytku i pory dnia. Więc do kostjumu i palta, na ulicę — skórzana torba, przeważnie płaska, w środku wykończona barwną skórą, lub materją. W wierzchniej klapie oprawne lustro, a wewnątrz flakonik do perfum, pudełeczko do pudru, nieraz maleńki notesik. Do sukni wizytowej, popołudniu — niewielki woreczek z barwnej, malowanej, lub wyłaczanej skórki, z czarnej mory, z materji odpowiedniej do sukni, zahaftowany jedwabiem, wełną, lub pacioreczkami. Do toalety wieczorowej, na bal, lub do teatru nosi się woreczki maleńkie. W wystawach paryskich spotykamy prawdziwe klejnociki — pudełeczka różnych kształtów, pokryte barwną emalją, lub wysadzane drogiemi kamieniami, a zakończone dużym, barwnym, jedwabnym chwastem, kwiaty z jedwabiu, wstążeczki, albo sznelki, a wewnątrz ukryty maleńki woreczek — pudełeczko.

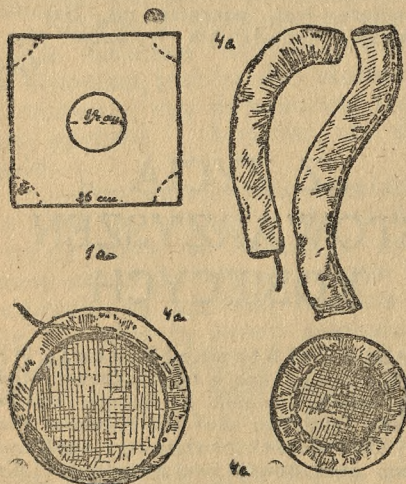
i w podszewce szwy były odwrócone do środka. Rogi tak złożonego kwadratu należy zeszyć ze sobą po linii, oznaczonej na rys. 1a. linją rwaną, a otwór wykończyć razem z podszewką. Brzegi kwadratu i otwór można obszyć pacioreczkami, lub galonikiem dżetowym, do otworu przyczepić kółko, w odległości paru cm. jedno od drugiego i przez nie przeciągnąć

Całą powierzchnię zniszczonej materji pokrywa się kwiateczkami wymarszczonemi ze wstążeczki, szerokości 1 1/2 cm., jak na rys. 2a. i 2b. Na jedną taką różyczkę potrzeba 10 do 11 cm. wstążeczki. Gotowe różyczki naszywa się na woreczku, jedna obok drugiej, tak żeby ich brzegi zachodziły trochę na siebie.

Nr 3 to woreczek z jasnego jedwabiu, rypsu, mory, lub płótna, ręcznie haftowany, bardzo łatwym, tak zwanym, zakopiańskim ściegiem. Fason, deseń i sposób wykonania znajdują Panie na ostatniej stronie dodatku mód.

Wreszcie Nr 4, najtrudniejszy do wykonania, ale za to bardzo ładny i efektowny. Należy wykroić z merli, lub cienkiego bristolu cztery krążki o średnicy 8 cm., każdy z nich obszyć jedwabiem (rys. 4a). Tak obszyte dwa krążki połączyć podwójnie złożonym, lekko nadmarszczonym paskiem materji szer. 2 cm. pozostawiając otwór na 6 do 7 cm. (rys. 4b). Po dwóch stronach tego otworu przyszywa się kłapeczki, które zapięte na zatrzask tworzą zamknięcie woreczka.

Całą powierzchnię dwóch pozostałych krążków pokrywa się płatkami, wykonanemi w następujący sposób: Materjał, cięty na paski 1 i 1/2 cm. szerokości a 2 i 3 cm. długości, lub wstążeczkę tych samych wymiarów, zeszywa się brzegiem i odwraca na prawo (rys. 4e).



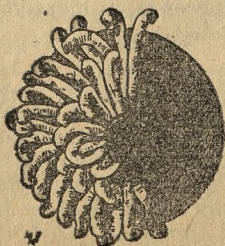
Naturalnie, że wszystkie te cacka są bardzo drogie. Cena ich nieraz naprawdę równa się cenie klejnotów, więc choć nęca oko, nie każda z nas stać na to, żeby je posiadać. Jest jednak cały szereg woreczków ładnych i efektownych, które domowemi środkami samej wykonać można i takich kilka podajemy.

Nr 1 — to woreczek z materji czarnej, a wykonanie jego bardzo łatwe. Wycina się z materji dwa kwadraty 26 x 26 cm. i takie same dwa z jedwabiu, którym woreczek ma być podbity. W jednym z kwadratów należy wyciąć kółko o średnicy 8 1/2 cm. (rys. 1a) i zeszywszy je z sobą, włożyć wewnątrz tak samo zeszytą podszewkę, tak, aby w wierzchu,



wstążkę, lub sznur jedwabny. Na rogach przyczepia się chwaściki, a na środku dolnego kwadratu duży chwast jedwabny, który obciągając materiał ku dołowi, nadaje woreczkowi wydłużoną formę. Jeżeli chcemy, aby taki woreczek był strojnieszy, można narożniki wyszyć pacioreczkami, lub wyhaftować.

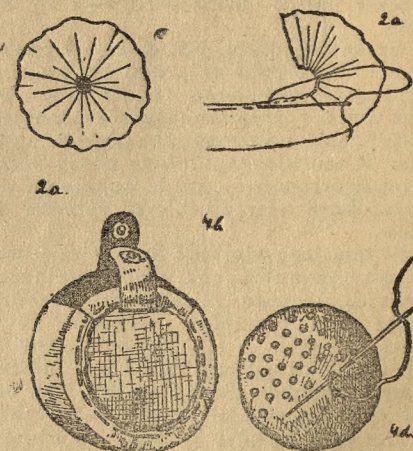
Nr 2 to woreczek, który bardzo łatwo wykonać można, jeśli się ma jakiś stary, zniszczony już worek z metalową oprawką.



Płatki naszywa się dość gęsto na dwóch obszytych krążkach (rys. 4f), pozostawiając w środku nie zaszyte kółko o średnicy 3 cm.

Aby kwiat robił wrażenie pełnego, potrzeba mniej więcej 50 płatków dłuższych i 25 krótszych. Środek pokrywa się krążkiem bristolu, o średnicy 3 cm. pokrytym złotą lamą, lub odpowiednią materją (rys. 4c) (pod lamę należy podłożyć trochę waty, aby uwytklić środek) i wyszytym drobnymi pacioreczkami (rys. 4d).

Tak przygotowane krążki z płatkami przyszywa się do brzegów woreczka i zakończa go się od dołu chwastem z drewnianych, lub szklanych paciorków, a od góry odpowiednią wstążką, do noszenia na rękę.





Wskazówki praktyczne

KUCHNIA.

Artykuł „Reforma Gospodarstwa Domowego,” w 42 numerze „Bluszczu” stoi w związku z poruszaną kilkakrotnie w tem piśmie kwestją służby domowej — tak żywo obchodzącą nasze panie domu.

Zapewne większość pań gospodyń po przeczytaniu tego interesującego artykułu z żalem westchnęła do podobnej wystawy u nas oraz do tego, by firmy nasze z naczyniami i przyrządami kuchennymi zechciały zapoznać się z „Przeglądem Drobnych Wynalazków” i sprowadzić te, już wypróbowane i nagrodzone medalami wynalazki, tak pożyteczne i tak bardzo zaoszczędzające czas i ułatwiający pracę.

Z pewnością popyt nie byłby mniejszy niż we Francji.

Nasi technicy i inżynierowie nie wnikają niestety w te sprawy, tak jak to ma miejsce we Francji, musimy więc same sobie radzić i pomagać. Rozumiejąc to dobrze „Bluszcz” prowadzi dział „Praktycznych Wskazówek” dając w ten sposób swym Czytelnikom możność wymiany spostrzeżeń i dzielenia się nabytym doświadczeniem w dziedzinie gospodarstwa domowego.

Chciałam tym razem podzielić się z Szanownymi Czytelniczkami moimi spostrzeżeniami oraz łaskawie udzielonemi mi przez najpoważniejsze firmy wskazówkami w sprawie praktycznego urządzenia kuchni. Jest to temat obszerny, to też prosiłabym Szanowne Czytelniczki, żeby zechciały go dopełnić i podzielić się z nami swemi doświadczeniami.

W kuchni przyrządza się jedzenie, podtrzymujące nasze siły, zdrowie, a zatem i życie, a więc kuchnia musi być miejscem naszego starania o czystość, porządek i higienę. Dziś dalecy jesteśmy od tego ideału. Sporo jest mieszkań w Warszawie, nawet w nowych domach i na pierwszorzędnym ulicach, gdzie kuchnia jest ciemna, bez okna, i służy jednocześnie za pokój dla służącej. W kuchni tej służąca śpi, ubiera się, myje, czesze. Jedynym wentylatorem są drzwi na schody.

Czystość, ład, porządek i systematyczność w ustawianiu statków, naczyń i przyrządów kuchennych musi być koniecznie przestrzegana. Każda rzecz winna mieć swoje miejsce w celu uniknięcia straty czasu na szukanie.

Nasze służące nie mają zamiłowania do porządku, na pani domu ciąży więc ten obowiązek. Musi ona jednak pamiętać, aby rozkazy jej w tym względzie, jak również i rzeczy raz przez nią ustawione — nie były zmieniane.

Najmniejsza nawet kuchnia musi mieć stół z szufladą i szafkę kuchenną, taboret pod waniankę do zmywania naczyń, taboret, na którym w czasie prania stoi balja, jedno lub dwa krzesła (najlepiej składane), stołeczek, na którym służąca siada przy obieraniu kartofli, półkę na rondle, ramę drewnianą z haczykami do wieszania naczyń kuchennych, pokrywy i łyżek, półteczkę, na której stoją w słoikach, czy blaszankach przyprawy jak pieprz, angielskie ziele, liść bobkowy, sól, bułka tarta i t. p.

Przyprawy te przechowywać można w zwyczajnych blaszankach od cacao, co w dzisiejszych czasach ze względów ekonomicznych można zalecać.

Takie jest najskromniejsze, w dzisiejszych jednakże czasach najzupełniej wystarczające, urządzenie kuchni.

Teraz przychodzi kolej na drugą składową część inwentarza kuchni — na t. zw. statki kuchenne;

A więc każda gospodyni winna dążyć do tego, aby mieć w kuchni:

Brytwanę żelazną, polewaną; deseczkę do czyszczenia noży; deskę do mięsa; durszlak; dzbanek na dwie kwarty; formę do galaret kamienną lub blaszaną; garnitur piecowy, składający się z cęgów, łopatki i pogrzebaczki; imbryk do wody i imbryk do zaparzania herbaty; kocioł do gotowania białizny cynowej z pokrywą i sitem na dno; kółko do ciasta mosiężne; koszyk do noży i widelcy drucziany; kubeł do węgla żelazny; kubeł do śmieci cynkowy; lejek; łyżeczkę do wydrążania kartofli; łyżki kuchenne, drewniane, 3 szt.; łyżkę czerpakową; łyżkę durszlakową; łyżkę do szumowania płaską; łopatkę do śmieci (szufelka); maszynkę do siekania mięsa; maszynkę do zaparzania kawy; młotek do mięsa drewniany; młynek do mielenia kawy; młynek do mielenia pieprzu; moździerz mosiężny, noże kuchenne, 3 szt.; patelnię; patelnię małą z uszkami; pokrywy do rondli, 6 szt.; podstawkę pod żelazko; rondel do słoniny, żelazny emaljowany; rondle aluminiowe, 6 szt.; sito do rosółu; stolnicę lipową; szpikulec do słoniny; tacę; tarkę; tasak stalowy; toporek kuchenny; trzepaczkę do piany; ubijak do kartofli, drewniany; wałek do ciasta drewniany; waniankę do płukania mięsa; waniankę cynową do zmywania naczyń kuchennych; widelec kuchenny; żelazko do prasowania z 2-ma duższami; podstawy drucziane pod żelazko.

Mamy wiele rodzajów i gatunków rondli: Żelazne, lane, zewnątrz czarne, wewnątrz białe, emaljowane — te są najtańsze. Cena rondla dwulitrowego zł. 1.

Żelazne, lane, pokryte wewnątrz białą emalją, zewnątrz niebieską. Cena dwulitrowego zł. 1.50.

Emaljowane, wewnątrz białe lub popielate, nazewnątrz niebieskie, brązowe lub popielate. Są niestety najbardziej rozpowszechnione, mimo, iż są niepraktyczne, gdyż często przy nieumiejętnym obchodzeniu się, nieraz po tygodniu używania, emalja odskakuje. Rondle te są niehigieniczne. Cena 2 litrowego zł. 2.50.

Rondle miedziane były dawniej w największym użyciu dzięki swojej trwałości. Przechodziły one z matki na córkę, a ilość miedzianych rondli była poniekąd miarą zaможności domu. Dzisiaj wychodzą one jednak zupełnie już z użycia. Są drogie — cena 2 litrowego zł. 12, — przytem niehigieniczne, nieekonomiczne, gdyż wymagają kosztownego i dość częstego bielenia. Nie cieszą się też one sympatią naszych służących, gdyż wymagają częstego i dokładnego czyszczenia. To też o ile rondle miedziane nie zostały zabrane przez Niemców, lub oddane na Skarb Narodowy — są one sprzedawane przez właścicieli, które wolą na ich miejsce kupić tak teraz wchodzące w użycie rondle aluminiowe.

Rondle aluminiowe — powinny być bezwarunkowo najbardziej polecane, jako najhigieniczniejsze i może najtrwalsze. Jakże przytem łatwo rondle te utrzymać w czystości.*) Ceny rondli aluminiowych są bardzo niestety wygórowane, gdyż cena 2 litrowego waha się od zł. 4 — 9.

Rondle niklowe byłyby najidealniejsze, niestety jednak cena ich jest o 500% wyższą od rondli aluminiowych. Jest to więc zbytek nie dla wszystkich dostępny.

Gdy już zdecydujemy się na któryś z wyżej wymienionych gatunków, to należy kupić wszystkie rondle, pokrywy, patelnie z tego samego materiału, bo i w urządzeniu kuchni musimy kierować się nie tylko praktycznością, ale i estetyką. A niema chyba w kuchni brzydszego widoku, nad widok półki, na której stoją rondle różnych kształtów i różnych wyrobów. Choćby były one wszystkie dobrze utrzymane, czy nawet nowe, doznaje się niemiłego wrażenia zbieraniny.

*) Najlepiej do tego celu używać zwyczajnej gliny, którą kupić można w każdej mydlarni. Wystrzegać się należy mydła, sody, popiołu — które nie czyszczą, a niszczą bardzo aluminium.

Ważną rolę w kuchni odgrywają ścierki.

Każda ścierka winna mieć swoje przeznaczenie i należy bardzo przestrzegać, aby służąca utrzymywała je w czystości, i używała do różnych rzeczy właściwych ścierce.

W domu, gdzie pani lubi porządek i ład musza być:

Ścierki do szklanek; ścierki do talerzy trochę grubsze; ścierki do noży i widelców; ścierki do rondli; ścierki do wycierania stołów; ścierki do mycia podłóg, wreszcie zmywaki.

Jak koniecznym jest przestrzeganie, aby służąca nie wycierała rąk w ścierki — o tem wiemy wszyscy, gdyż ucza nas tego najelementarniejsze zasady higieny. To też przy zlewie wisieć winien ręcznik do wyłącznego użytku służącej. Oczywiście, dla swego też użytku musi mieć służąca i miednicę.

Czystość zlewu najlepiej utrzymać można myjąc go zwykłą naftą. Płytę kuchenną zaś radziłabym czyścić grafitem.

Z. F.

KARTOFLE, JARZYNA I WŁOSZCZYŻNA NA ZIMĘ.

Kilka moich miłych Czytelniczek zwróciło się do mnie z zapytaniem ile kartofli i jarzyn mają przechować na zimę. Trudna jest odpowiedź na tak postawione pytanie, szczególnie, że te panie nie zechciały mnie przy tem poinformować, czy mieszkają na wsi, czy też w mieście i ile osób mają na swoim stole, — przyczem należałoby jeszcze wyszczególnić liczbę osób, siedzących do stołu, służby domowej i czeladzi, — gdyż każda z tych grup ma różne gusta i przyzwyczajenia, z którymi przy żywieniu ich liczyć się należy. Na wsi zwykle się rozporządza takimi dużymi ilościami jarzyn i włoszczyzny, że użycie ich na doży większe lub mniejsze, żadnej nie gra roli, chodzi raczej o racjonalne i wypróbowane sposoby ich przechowania, aby przetrwały do świeżych. Przy dużych ilościach stosuje się zwykle dołowanie lub kopcowanie, — są to sposoby znane powszechnie i stosowane w celach handlowych lub też do jarzyn (okopowych, turnepsu, buraków pastewnych, marchwi pastewnej), przeznaczonych dla inwentarza. Kartofle też się zwykle kopcuje i tylko w dniu mniej mroźne przenosi częściowo do piwnicy w miarę ich użycia. Mogę więc mówić tylko o jarzynach, przeznaczonych na użytek ludzi.

Lud nasz przeważnie lubi dania kwaśne, toteż kapusty i buraków dla służby i czeladzi przeważnie się używa kwaszonych. Kapustę się kwaszą dwójaką, białą, szatkowaną, z dodatkiem jabłek, zórawin, marchwi, kminku lub koperku w ziarnkach, — tę się jada na surowo jako sałatę i używa na kapuśniaki i bigosy na pierwszy stół, — taż sama się daje czeladzi na surowo. Natomiast na kapuśniaki i duszoną jarzynę dla czeladzi, na kapustę z groszkiem, tak przez nią lubianą, można kwasić kapustę siekaną, szarą, na którą można zużyć wszystkie mniej ściśłe główki i wszystkie zdrowe, zielone jeszcze liście.

Kapusty kwaśnej dla czeladzi należy liczyć najmniej po trzy pudy, (pięćdziesiąt kilo) na osobę. Do stołu i dla służby domowej półtora puda (25 kilo) na osobę wystarczy.

Kartofli do stołu starczy korzec na osobę, dla służby domowej półtora korca na osobę, — i dla czeladzi po trzy korce na osobę, wydaje się to nieprawdopodobnym, a jednak tę ilość w swoim, przez lat blisko dwadzieścia, przed wojną prowadzonym gospodarstwie, wypróbowałam. Poza kapustą, burakami, przeważnie też kwaszonymi i kartoflami, czeladź zużywa minimalne ilości jarzyn.

Nawet służba domowa wiejska chętnie jada rozmaite jarzyny, na zmianę woli groch, kaszę i mączne potrawy. Przy obliczaniu więc jarzyn bierze się pod uwagę liczbę osób, zasiadających do stołu.

Otóż na każdą sobotę pud do półtora buraków ćwikłowych, tyleż marchwi i tyleż brukwi stanowczo wystarczy, — stosownie do

gustu domowników, który gospodyni domu, oczywiście dobrze być musi znany, można jednej jarzyny przechować więcej, drugiej mniej.

Właściwej włoszczyzny, to jest pietruszki, porów i selerów można liczyć, jeżeli są dorodne, dobrze wyrosnięte, — po kopie na osobę. Selerów wprawdzie do rosółów mniej się używa niż innych jarzyn, natomiast stanowią one wykwintną jarzynę i lubianą sałatę.

Pory w większej ilości należy pozostawić na grzędach, przykryć je tylko gałązkami choiny, przetrzymują tam doskonale i po zejściu śniegów, wykopane i przeniesione do piwnicy dadzą i świeżą włoszczyznę do rosółów i wyborną jarzynę, zastępującą szparagi.

Przygotować piwnicę do przechowania jarzyn należy w następujący sposób:

Usunąć z piwnicy wszelkie resztki zeszłorocznych jarzyn, poobcierać wszelkie wilgoci i pleśnie, wynieść gdzieś do pole zeszłoroczny piasek, piwnicę dni kilka wietrzyć i suszyć, poczem dopiero nawieść do niej czystego, suchego piasku. W piasku tym należy posadzić gatunkami woszczyzki, jak kapusty, wyjmując je z korzeniami z ziemi i przenosić wprost do piwnicy, a zatem białą, czerwoną, saładową, włoską, fryzowaną i bruksełkę. Jarmuż się pozostawia w gruncie, gdzie dopiero po dokładnym przemarznięciu staje się jadalny.

Marchew się układa w stożkowaty kopczyk, jeden lub kilka, rzędy jej przesypując warstwami suchego piasku, także same kopczyki się usypuje z buraków i brukwi, piasku między nimi sypać nie należy.

Pietruszkę i selery układa się w piasku w taki sposób, aby ich cząstki były naziwną, wtedy puszczają natkę użyteczną do ozdoby półmisek i zaprawy sosów, zasypane zupełnie piaskiem gnij zaczynają.

Pory sadzi się gęsto w piasek jeden obok drugiego. Kąt jeden piwnicy zasadza się kalafiorami późnemi, których róże się jeszcze niezupełnie rozwinęły, należy z nich starannie usuwać wszystkie żółknięjące liście, któreby gnicie spowodować mogły. Kalafjory dobrze wyrosnięte wieszka się na sznurkach pod sufitem piwnicy.

Zapas chrzanu, obliczony do zejścia śniegów i rozmarznięcia ziemi sadza się w kopczyk piasku w taki sam sposób, jak selery i pietruszkę. Kącik piwnicy należy zarezerwować dla sałat zimowych, które się sadza w piasek prosto z grzedy, należy im wybrać miejsce blisko okna, aby się mogły dobrze rozrastać, w miarę potrzeby związuje się lyczkiem dla wybielenia i odjęcia goryczy przed użyciem.

Kilka bujnych krzaków kardów też musi znaleźć miejsce, aby nie zajmowały go

zbyt wiele, należy je obwiązać odrazu sznurami lub rajfą, co do bielenia ich i tak jest koniecznym.

Kto lubi selery liściaste, saładowe powinien je też posadzić w sąsiedztwie sałat i też związywać lyczkiem w miarę potrzeby dla wybielenia.

Pietruszkę kędzierzawą, używaną do ubierania półmisek, sadzi się na płask w piasku, gdzieś w pobliżu okna.

Balory włoskiej tylko część się wykopuje jesienią, tyle, ile od ostatnich kalafiorów do rozmarnięcia ziemi zużyjemy, — zimuje doskonale w ziemi i wykopana na wiosnę jest jeszcze delikatniejsza w smaku.

Skorconera i korzeń owsiany też doskonale zimują w ziemi, — są one znane w Kongresówce, jako szparagi zimowe. Połowę, mniej więcej ich należy wykopać na użytek miesięcy mroźnych, kopcuje się je w piwnicy, przesypując piaskiem, jak pietruszkę.

Rzodkiew zimową, ułożoną w kopczyk, przechowuje się bez przesypania piaskiem, to samo się tyczy rzepy zimowej. Piwnicę w dniu odwilży starannie wietrzyć należy, co tydzień oglądać z lampą, aby usunąć wszystkie psujące się jarzyny i ich części, — gdyż każda psująca się jarzyna zaraża inne, a zaduch i brak powietrza może spowodować stratę całego zimowego zapasu jarzyn. W mieście, z konieczności, dla braku innego miejsca, trzyma się wszystko w jednej piwnicy, jarzyny i węgiel, kartofle i becзки z kapustą, ogórkami i t. p. Na wsi, gdzie miejsca jest dosyć, należy tego bezwzględnie unikać, kapusta fermentująca zaraża fermentem jarzyny i odwrotnie, nabiera od nich wstrętnego, piwniczego zapachu. Dla kadzi z burakami, kapustą, ogórkami powinna być specjalna warzywnia, równie jak piwnica niedostępna dla mrozów, — po ustaniu zaś mrozów wszystkie kadzie i becзки powinny być przeniesione na lód, do lodowni, przez co będą trwalsze znacznie, szczególnie kapustę, zakwaszoną w małych, mocno zaszpionowanych baryłkach i w czas na lód przeniesioną udawało mi się przetrzymać do świeżej, ś-wo Jańskiej.

Pani Elżbieta.

Z powodów od Administracji nie zależnych—tablica krojów w bieżącym miesiącu będzie dodana do № 48.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 46

631. Palto z grubej, miękkiej wełny, Kołnier i mankiety futrzane.

632. Palto z popielic. Kołnier i mankiety z popielatego lisa.

633. Palto fokowe, przybrane tumakami.

634. Żakiet karakułowy. Obłożenie, kołnier i mankiety ze skunksów.

635. Palto sukienne, koloru brązowego, przybrane oposami.

636. Strojne okrycie z peleryną z jasno popielatego sukna, przybrane szenszylami.

637. Palto karakułowe, przybrane skunksami.

638. Palto z granatowego sukna, przybrane czarną taśmą i karakułami.

639. Paltocik z imitacji szenszyla dla dziewczynki od lat 6 do 8.

640. Paltocik z małą strzyżonych dla dziewczynki od lat 5 do 8.

641. Paltocik z popielatego baranka (imitacja karakułów) dla dziewczynki od lat 6 do 9.

642. Paltocik dla chłopca od lat 5 do 8 z grubej wełny, przybrany futrem.

643. Palto z brązowego, angielskiego materiału, przybrane tumakami.

644. Strojny płaszcz z aksami'tu, lub jedwabiu, przybrany białymi lisami.

645. Paltocik dla chłopczyka od lat 4 do 7 z ciemno zielonej wełny, przybrany czarną taśmą i fokami.

646. Paltocik dla chłopczyka od lat 6 do 9 z sukna granatowego, przybrany taśmą i futrem.

647. Paltocik dla dziewczynki od lat 6 do 10 z brązowego, angielskiego materiału, Kołnierzyk i mankiety z baranków.

648. Wzór na woreczek—haft kolorowy. Wielkość naturalna.

649. Motyw do wyszycia na woreczku ścięciem łańcuszkowym, lub pacioreczkami.

SPROSTOWANIE

W artykule M. D. „Amerykańskie listy Kościuszki” są następujące błędy drukarskie:

Szpalta 2 ga wiersz 8-my od góry zamiast „honoru,” powinno być: „humoru.”

Szpalta 3 cia wiersz 3-ci z góry zamiast „wolniejszego,” powinno być: „realniejszego.”

Szpalta 3 cia wiersz 2 gi z dołu zamiast „wolał,” powinno być: „zdołał.”

Szpalta 3 cia wiersz 20 i 21 z dołu zamiast „podbojem,” powinno być: „pokojem.”

OD ADMINISTRACJI

Zawiadamiamy nasze P. T. Prenumeratorki, że w razie nieuiszczenia opłaty za prenumeratę miesięczną najpóźniej do dnia 15-go każdego miesiąca, zaprzestaniemy bezwarunkowo dalszej wysyłki „Bluszczu”, co jednakże nie zwalnia od obowiązku wpłacenia należności za otrzymane numery naszego pisma. Pieniądze za prenumeratę wysyłać należy na blankiecie P. K. O., który (w razie nie dołączenia go do numeru przez Administrację)—otrzywać można w każdym urzędzie pocztowym. Wpisuje się tylko na nim numer konta „Bluszczu” 3700.

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU:” Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA,”
Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115.

OGŁOSZENIA

L. i E. MENTZL i Sp.—Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—Senatorska 12. Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA”
Długa 9 i I. BUCHWEITZ—Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „K O Ł A P O L E K.”
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

Redaktorka: W A N D A P E Ł C Z Y Ń S K A
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40.